

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 4 lutego 1947 r.

Nr 5 (74)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ADAM WAŻYK

Z „WIERSZY ZEBRANYCH”

Morze

Porty są wszędzie.
Porty są nawet w Warszawie.
Co dzień czekając na tramwaj,
oglądam jacht na wystawie.

A jutro, lub pojutrze, będzie
Atlantyk i siny Awiaryk
Dołem, czy góra, w ogromnym pedzie,
jak oczy — poniesie mnie statek.

Kto mówi, że w 12 lat po katastrofie
nie można lechać Tytanikiem?
Co wieczór, co noc odpływamy,
nie pożegnawszy się z nikim —
i kiedy piszę te słowa, pierwszy raz po długiej chorobie,
morze nie dzieli nas, nie wierzę. Jestem przy tobie.

1923

Syfon na Pradze

Na Pradze stoi drewniany syfon
i mówi jak beczka zachłystnięta winem:
niech mnie spławia galarem do Gdańska
niech odpłyne odpłyne odpłyne

Mnie jak kosz owoców na grzbiecie
dobrzy ludzie poniosą po świecie
W owocach jest tlen jest żelazo
tlen i żelazo które pijecie

Na Pradze mówi niezgrabny syfon
Idźmy słuchamy go wszyscy
Idą trzy kościoły gotyckie
jak trzej królowie nubijscy

Jedzie z warzywem ogrodnik
panienka niesie swój suty warkocz
konie jak ludzie przechodzą na chodnik
i stają jak niegdyś przed arką

Nad nimi pyzate gołębie
i gwiazdy latają zbliżając
słoty podmiejskich psów
gonią z liliami w pyskach

Wspominam ludzi zwierzęta
i syfon ubogi na Pradze
wspominam syfon na Pradze
wspominam syfon na Pradze

1925

List rekonwalescenta

Dziś pierwszy raz od czasu jak leżałem chory
wyszedłem dobre ciepło poczułem kolory.
Podczas każdej choroby wrażliwość zmieniamy
jak dziecko z łona matki wyszedłem dzisiaj z bramy
Na ulicy koty z żarem ustawiono wieczorem
pracownicy bruku gotowali w nich smołę
przechodnie bezwiednie przystanęli wokół
Kamieniarze ulice przemienili w pokój
jak zły przypadek jak bójka przemienić ją może
gdy pęknie dyszel dorożki albo zęby zabłysną jak noże
A tu byłem tylko ja był żołnierz którego ostrzyżono
stał się za barierą we troje z twoją narzeczoną
Z kasztanu opadł listek i do ramienia jej przylgnął
Ludzie konie nozdrzami wchłaniali wiosnę wilgna
Wiosno wzruszeń przelotna jak kobiecy uśmiech
pod liściem oddalenia widzę twarz wypukłą
Jak prospekty zamorskie z próbkami bawełny
tłumy się gromadzą barwione coraz pełniej
Wystarczy jedno ziarno bym poczuł w rękach granat
odór siarki wdychając widzę jak pęka granat
Starczy stopień drabiny aby w góry mnie zawieźć
maślacz aby przynieść moje usta na wieś
starczy kropka na linii bym słyszał miedź symfonii
i wystarczy mi również jeden uścisk dłoni

Sprzymierzony z umysłem powtarzam wciąż odnowa
rozwiążność mego serca i wstydlivość słowa
Przebac wynurzenia którymś list zamykam
skoro inspiracja ani praca znużona
nie pozwala mi dzielić się z tobą z nikim
struga podskórną niewymiernego źródła

1925

Koń trojański

Powiewającym welonem muska mnie po twarzy
imię, które wzburzyło przezornych wyspiarzy;
imię twoje, Heleno, jest struną mojej lutni,
ale nad nią fruwać bogowie zbyt okrutni.
Oni czułość tej struny zaliczą między wady
dlatego, że nie mogę napisać Illiady.
Kształczył mnie gobeliny delikatne i trywialne,
jakie zdobą każdą mieszczańską jadalnię;
śpiżowy głos Ajaksa budzi we mnie sprzeciw
i lzy wyciska mi z oczu perspektywa stuleci.
Widzę, jak w ciżbie Trojan, zbrojnych sklepikarzy,
człowiek przekupiony prawie na głos marzy,
jak z czoła mu wychodzą masywne kwadrygi,
kędzierzawi Achaje, — rozmawiają na migi, —
boginie dzięki trudom wysmukłe jak z pod kalki,
żołnierze niegoleni od dziesięciu lat walki,
moc marynarzy, pasterzy — i szukam nadaremno,
który jest Menelaos, a który Agamemnon.
Nieznany mi admirał, wyłuskał pod kaskiem,
kuleje, oszukaniec, aby się wkraść w moją łaskę,
i naigrawa się z Troi, że lat tyle żyła o głodzie, —
jutrzejsze Troi popioły widzę na szarej brodzie.
Achilles, transformista, jest znowu! Ulisses
w rodzinnym twoim mieście poprzestawiał ulice,
Heleno! Nie traćś napowrót do rodziny,
która tonie we łzach. Wykradłem twą fotografię z witryny
i próżno tracę czas na retusz. Nie podołam,
bo peszy mnie koń drewniany. Pióro moje polam.

1925

Na temat reflektorów

Drużba jesienią wojny siedłem ulicą był wieczór
drzewa strącały liście a te szeleszcząc gadały
to widma miast które były wczoraj na mapie Europy
widma miast których nie ma
rzucali mi popiół pod stopy
gdy nagle na niebie reflektor zaświecił:
jestem promieniem pancernym
łuską obronnej sieci
Drugi reflektor skrzyżował z nim ramie i miledzał

Tamten skośniejszy był nieba cięciwą
a ten był mieczem wzniesionym do cięcia
nad węzłem wojny

Miedzy drzewami w listwie opadającym jak popiół
dwa reflektory walczyły
z widmami miast których nie ma
dwa reflektory świecić mówili
zniżały się skokiem i temat
wydłużał się w głąb Europy
aż położyło promienie złożywszy
na moich barkach
zniechęciły na długo
i pomostem nieważkiej materii
oślepiającym przewodem
przesyłały swój oddech najczystszy
ludom
ludom

Lwów 1940

Spojrzenia

Oczy zwierzęce czuwają w lasach,
sarny wychodzą na skraj polany,
patrz, jak zwolna w mieście dogasi
pożar nieznany.

Zadziwiający zwierzęce oczy
stos się ponawia w chmurne wieczory —
z ogniem w źrenicach sarna uskoczy
głęboko w bory.

Po nocach gwiazdy świecą, jak sarnie
oczy utkwione w pogorzelisku,
aż je ktoś zaćmi, kto kraj ogarnie
okiem pocisku.

ARYSTOKRATYCZNA KULTURA NIE
ULEGA DEMOKRATYZACJI PRZESZ
TO, ŻE SIĘ JĄ UPOWSZECHNIA.
ONA SIĘ W OGÓLE DO UPO-
WSZECHNIENIA NIE NADAJE

Józef Chałasiński

TREŚĆ NUMERU:

ADAM WAŻYK —
Z „WIERSZY ZEBRANYCH”
JERZY BOREJSZA —
LEKCJA HISZPAŃSKA
KAZIMIERZ BRANDYS —
ROZMAITOŚCI
STANISŁAW EHRLICH —
REFORMA STUDIÓW
PRAWNICZYCH
ANDRZEJ BRAUN —
WIERZYE
„DON BASILIO”
ROZMOWY „KUŹNIOY”
JAN SZCZEPAŃSKI —
W SPRAWIE ALKOHOLIZMU
JAN KOTT —
NIEOCZEKIWANY SOJUSZNIK
RYSZARD MATUSZEWSKI —
ROZSĄDEK I PASJA
STEFAN OTWINOWSKI —
LIST Z KRAKOWA
KRONIKA RADZIECKA
PRZEGLĄD PRASY
KANDYD —
TAK TOCZY SIĘ SWIATEK
KORESPONDENCJA
NOTY

Szkic pamiętnika

(Fragment)

Rozmowy przy kolacjach, czy w knajpach przy wódce,
słowa tęczujące, w których dudni chaos.
W tych latach bowiem w ludziach nienajgorszej woli
reakcja maskowała się zgłębkiem w umysłach,
pojęcia gmatwały się jak niegdyś bogowie w epoce
synkretyzmu.

pewień mój znajomy malarz
przez trzy godziny bez przerwy potrafił mówić od rzeczy,
inni układali krzyżówki,
czekali na kataklizm,
jak na upiorną fotografię zbiorową w wybuchu magnezji,
czytali Nostradamusa.

Kłameca był między nami przebrany za dziennikarza,
szpicel był pięknołuchem, albo poetą cyganem,
alfons i agent niemiecki był snobem,
nie wiadziło kto z czego żyje,
dziesięciu sprawiedliwych ginęło w Hiszpanii.

W tych latach mówiłem do siebie głosem starszego brata:
ileż razy trzeba cię budzić, abyś zbudził się w swojej epoce?
Mówiłem do siebie głosem brata samobójcy
i zamiast pisać — pióro stawiało kreski, znaki,
chodziło po papierze jak sejsmograf aż przysło,

Zbudzono nas, ludzie nienajgorszej woli,
albo nas pochowano pod gruzami domu.

I wielu jeszcze zbudzono,
aby oczy zalepić im plastrami śmierci
i postawić pod murem w koszuli z papieru.

Okopany nad Wisłą, na przedpolu Warszawy,
przez lornetę wpatrując się w brzeg przeciwny,
tam gdzie jutro pociski naszych dział będą biegły,
przypominam sobie
lata, które były i waszymi latami,
ludzie nienajgorszej woli
pochowani w moim sercu jak we wspólnym grobie.

1941—1944

*) Ogłaszamy kilka utworów z „Wierszy zebranych”
Adama Ważyka, które ukażą się w najbliższym czasie na-
kładem Spółdz. Wyd. „Czytelnik”.

JERZY BOREJSZA

LEKCJA HISZPAŃSKA*)

I.

„Prawie we wszystkich krajach europejskich przedstawicielami Anglii są ludzie, którzy absolutnie nie rozumieją procesów społecznych, zachodzących w tych krajach. Obracają się ci ludzie w kołach reprezentujących układ sił, który skompromitował się podczas wojny. Prawie we wszystkich krajach Europy świadczą oni żywo o tradycji angielskiej polityki zagranicznej. Ludzie ci znani są jako sympatycy opozycji, a opozycja w tych krajach z natury swej nie jest „lojalną opozycją” w tym sensie, jak my to rozumiemy, lecz opozycją, która prowadzi intrygi obliczone na **rozpalenie wojny domowej** (podkreślenie autora), bądź też organizuje interwencję przeciwko własnemu krajowi... W stolicach wszystkich krajów nasi przedstawiciele dyplomatyczni podtrzymują ścisły kontakt z ludźmi, popierającymi taki kierunek polityczny...”

Tak oto ocenia politykę dyplomacji angielskiej w krajach europejskich w r. 1946, angielski tygodnik „New Statesman and Nation”. Zaprawdę jak gdyby nic się nie zmieniło od okresu, gdy dziesięć lat temu przy czynnej pomocy angielskiej dyplomacji i finansjery na zachodnim krańcu Europy powstało ognisko zapalne drugiej wojny światowej — wojna domowa w Hiszpanii, która doprowadziła do zwycięstwa generała Franco.

Zrozumienie metod i techniki działania dyplomacji angielskiej naocznie niewątpliwie ułatwia ocenę systemu polityki i techniki anglosaskiej po drugiej wojnie światowej w Europie Środkowej, na Bałkanach, bądź też na Zachodzie.

Republika hiszpańska w 1931 r. spędzała sen z powiek politykom i finansistom Imperium Brytyjskiego. Odrodzenie i postęp pod boki Wielkiej Brytanii nowoczesnego państwa hiszpańskiego, stwarzały dla tradycyjnego układu sił imperium szereg niebezpieczeństw natury politycznej, strategicznej i gospodarczej. Toteż dla celów propagandowych rozpoczęto udawać, że republika — to droga do bolszewizacji Hiszpanii. Owcześni kierownicy angielskiej polityki wiedzieli dobrze, że nie o bolszewizm w Hiszpanii szła gra. Rzecz jasną było, że Hiszpania wkroczyła na drogę rozwojową republiki ludowej, w oparciu o sojusz proletariatu, chłopstwa, inteligencji, drobnomieszczaństwa i części mieszczaństwa. Chodziło jedynie o to, aby przeprowadzić reformę rolną, aby zdeokratyzować wojsko i aparat państwowy Hiszpanii, aby rozwinąć rodzimy przemysł tego kraju. I to dla Anglii było dostatecznie niebezpieczne.

Powstał więc obóz zapory, na czele którego stanął człowiek, ślepo zasturczany w dyrektywę Foreign Office, przywódca partii C. E. D. A. Gil Robles. Pozornie oddegnując się od skrajnej prawicy i monarchistów, przejmując pozornie hasła obózu postępu, zmontował Gil Robles obóz walki z demokracją, obóz posiadający ekspozyturę legalną w postaci partii i ekspozyturę konspiracyjną w postaci organizacji zbrojnych. Dla tego obozu udało się Gil Roblesowi pozyskać szereg uczciwych, naiwnych ludzi, trzon jego kierownictwa stanowili jednak ludzie nieświadomi wszystkiego, co było postępem w życiu hiszpańskim.

Gil Robles miał nad obozem demokracji pod niejednym względem przewagę: W akcjach wyborczych miał przewagę finansową, poparcie angielskiego króla nafty, Henryka Deterdinga z „Royal Dutch Shell” i milionera katalońskiego, Juana Marcha. Miał przewagę, posiadając za sobą reakcyjną generację i aparat państwowy, który przetrwał monarchię. Brak mu było jednego, co cechowało obóz demokracji: skrupułów. Parafrazując powiedzenie Mirabeau, ludzie jego gotowi byli

zaprzedać swe sumienie i duszę za pieniądze, bo zamieniali gnój na złoto.

Równoległe z akcją legalną partii Roblesa szła robota skrytobójców i mordców, działających w konspiracji, zbrojącej się za pieniądze obcych mocarstw. Gdy dnia 16 lutego 1936 r., podczas wyborów zwyciężył blok ludowy, frazeologia legalistyczna Roblesa przysła. Jego obóz przeszedł do wojny domowej. A sam Gil Robles został usunięty w cień — na jego miejsce przyszedł Anders Hiszpanii — Franco, agent Hitlera i Mussoliniego.

Zapewne, szereg psychologów w polityce zajmuje się w odniesieniu do Gil Roblesa i jemu podobnych ludzi w innych krajach zagadnieniem, czy był on świadomym agentem i lokajem Foreign Office, czy też wydawało mu się, że jest partnerem w grze, w której traktuje się go, jako równorzędnego gracza. Dla historyka, socjologa, czy też polityka, różnica w obu wypadkach jest trzeciorzędna: różnica bowiem w jednym czy w drugim wariancie jest tylko taka sama, jak między kanałią, a śmiesznym bohaterem tragifarsy, który będąc lokajem gra rolę pana.

Faktem pozostaje jedno: Gil Robles, angielska zaporą dla demokracji hiszpańskiej ustąpił, wobec człowieka Hitlera. Odbiwało się to wszystko w okresie ustępstw na rzecz t. zw. osi Berlin — Rzym. Rozpoczęło się Abisynią — zakończyło się Czechosłowacją. Niewątpliwie, zastąpienie anglofila Gil Roblesa przez gen. Franco nie w smak było ówczesnym kierownikom Foreign Office: należało jednak pamiętać, że wszystko podówczas było podporządkowane przed — monarchistycznemu naciskowi. Za cenę ustępstw na zachodzie i w Europie Środkowej, skierować uderzenie Hitlera na Wschód.

W Londynie rozpoczęła się gra, osłaniająca ofensywę gen. Franco w postaci polityki nieinterwencji, prowadzona wprawna ręką Leona Bluma.

Leon Blum należy do tego gatunku polityków, którzy przybrałszy miano socjalistów, widzą swe szczytne posłannictwo w roli obrońców interesów zagrożonego ustroju. Ten Severing Francji i Hiszpanii republik w jednej osobie, zapisał swą chlubną kartę w dziejach tragedii Hiszpanii. Premier rządu hiszpańskiego, Jose Giral oświadczył w pierwszym miesiącu wojny domowej: „Nie żądamy tego, aby nam pomagali, domagamy się tego, aby nas nie karali za to, że przeciwko nam wszczęto powstanie. Dlaczego nasze zamówienia we Francji, poczynione jeszcze przed 18 lipca, nie zostały wykonane pod pretekstem, że powstańcy napadli na nas? Czy można uważać za przestępstwo, że legalny rząd dąży do tego, aby w kraju zapanował porządek?”

W odpowiedzi na to jasne oświadczenie, Leon Blum adwokacił politykę nieinterwencji. Wyadawał bezbronność republiki hiszpańskiej, powstanie na Zachodzie bazy wypadowej dla drugiej wojny światowej i stworzenie po tej wojnie nowych ognisk faszystowskich.

Po dziesięciu latach od chwili rozpoczęcia wojny domowej w Hiszpanii, po krwawym doświadczeniu wojny światowej, w której przelano morze krwi i morze łez — jesteśmy świadkami nawrotu tej samej techniki w organizowaniu wojen domowych i obłudnej polityki nieinterwencji.

Tak jak gdyby w świadomości narodów nic się nie zmieniło: okupuje się Włochy, aby przeszkodzić reformie rolnej, broni się pod płaszczykiem nieinterwencji systemu gen. Franco; przeprowadza się farsę wyborów w Grecji, oszukuje się ludy kolonialne, i to wszystko przy zalewie frazesów o legalizmie, wolności, pokoju.

W nowych warunkach, gdy wielkim wysiłkiem narodów faszizm został zdruzgotany, wobec pokonanych Niemiec rodzi się nowa koncepcja nawro-

tu do polityki monarchistycznej, z germańskim wasalem. Tak jak gdyby narody niczego się nie nauczyły.

A jednak...

II

Wojna domowa Hiszpanii przypada na okres zapoczątkowania ruchów frontu narodowego, ruchów, które przetrwały się, okrzepły w okresie drugiej wojny światowej, przeszły próbę ognia i trwają po dzień dzisiejszy, zwycięsko objawiając władzę w wielu krajach.

Gdzie tkwi istota frontu narodowego? Wrogowie jego, poplecznicy faszystów i neofaszystowskich prądów po drugiej wojnie światowej, usiłowali i usiłują przedstawić ideę frontu narodowego jako macchiavellistyczną próbę zamaskowania dyktatury proletariatu. Nic bardziej fałszywego i kłamliwego! Być może, że dla niektórych sklerotycznych umysłów, czy też płytkich demagogów, nauka socjalizmu skostniała, w istocie jednak marksizm, jako nauka żywa, wciąż odpowiada teoretycznie na zagadnienia wysuwane przez praktykę. Lenin mówił: — „Nie traktujemy wcale teorii Marksa jako czegoś zakończonego i nieżyłkowego; przeciwnie, przekonani jesteśmy, że założyła ona jedynie kamień węgielny tej nauki, którą socjaliści muszą posuwać dalej we wszystkich kierunkach, jeśli chcą nadać jej za życia. Sądzimy, że dla socjalistów rosyjskich szczególnie niezbędne jest samodzielne opracowanie teorii Marksa, teoria ta bowiem daje tylko ogólne tezy przewodnie, które w szczególności dają się zastosować do Anglii inaczej niż do Francji, do Francji inaczej niż do Niemiec, do Niemiec inaczej niż do Rosji”.

Teoria frontu narodowego narodziła się z konkretnej, nowej praktyki. Faszystów i imperializm parł do wojen między narodami, do wojen domowych — socjalizm zaś, w trosce o dobrą materialną i duchową ludzkości dąży i szuka dróg pokojowego załatwiania spraw między narodami i pokojowej drogi tam, gdzie tylko można — do socjalizmu. Faszystów jest ruchem antynarodowym, staje się agenturą kierowniczych grup międzynarodowych wielkiego kapitału; klasa robotnicza w walce z Petainami i Chamberlainami, staje się prawdziwym, nieklamany przywódcą całego narodu, najsłabszym — i najofiarniejszym nosicielem jego patriotyzmu. W trosce o zachowanie wszystkich zdrowych gospodarczo sił narodu, klasa robotnicza szuka trwałego sojuszu nie tylko już z chłopstwem oraz inteligencją, ale również z rzemiosłem, drobnomieszczaństwem, a nawet częścią mieszczaństwa niezwiązanego z wielkim kapitałem. Tak szeroko pojęty front narodowy w walce o pokój z kapitałem finansowym dąży i dąży do osiągnięcia socjalizmu drogą głębokich, postępowych przemian, które zapewnią dalszy spokojny rozwój.

Front narodowy w Hiszpanii złączył baskijskich katolików i górników z Galicji, średniaków katalońskich i biedotę chłopską z Andaluzji, radykalną inteligencję i mieszczaństwo postępowe. Front narodowy zwyciężył w lutym 1936 w wyborach do Kortezów, ale przegrał w walce z gen. Franco i nie tylko z powodu niekorzystnej sytuacji międzynarodowej. Przegrał wskutek własnych swych błędów. Fronty narodowe do wojny 1939 r. były bowiem w defensywie wobec naporu faszystów, były dotknięte niemocą legalizmu i oportunizmu.

Dnia 21 kwietnia 1934 r. wódz radykałów hiszpańskich, Manuel Azania powiedział: „Są chwile, gdy sama demokracja winna wkroczyć na tory rewolucji, by nie walczyć przeciw swej większości, ale przeciw mniejszości, która zagraża jej życiu”. Te słuszne słowa Azanii padły o 3 lata zapóźno, dalsze 2 lata nie zostały również dostatecznie wykorzystane, aby zdruzgotać aparat państwowy reakcji hiszpańskiej,

by opanować wojsko, aby wziąć władzę bezpieczeństwa w swe ręce.

Stąd te opory wewnątrz frontu narodowego w Hiszpanii i w innych krajach. Osłoną „ideologiczną” tych oporów była mięczakowata, filisterska teoria legalizmu za wszelką cenę nawet wtedy, gdy stanowił on zasłonę dla tych, co walczyli o praworządność. Pod czas gdy wrogowie republiki, poprzez swoją partię i podziemie naruszali raz po raz praworządność, jej zwolennicy i oficjalni wodzowie, aż krztusili się zapewnieniami o swoim przywiązaniu do formalnego legalizmu.

Gdzie istotne tło tej niemocy.

Front narodowy okresu przedwojennego rozwijał się wtedy, gdy w socjalistycznych partiach dojrzewał dopiero ruch uzdrawiający. Prawica hiszpańskich socjalistów na czele z Besteiro widziała niebezpieczeństwo w lewicowym odłamie klasy robotniczej, w tym samym przeciwieństwie, któremu kierował swój ogień Leon Blum. Prawica pojmowała swą rolę jako ostatnią linię obrony zagrożonego świata i w roli tej trwała do ostatka, paraliżowała każdą reformę, broniła rzekomo apolitycznego aparatu państwa klasowego.

Nieustanne wahania w polityce frontu narodowego powodowali „centryści” socjalistyczni w rodzaju Indalecio Prieto; centryści stale usiłują siedzieć okrzepniętym na barykadzie, albo też tworzyć trzecią stronę barykady. Wydawało się im, że można stać się jęczyzkiem u wagi, tworzyć koniunkturalne większości raz na lewo, raz na prawo. Z tego szachowania na obie strony centrystów hiszpańskich wynikał w końcu szacherka, w której oszukany został socjalizm. Centryzm hiszpański stał się zamaskowanym oportunizmem, skłonny do kapitulacji wobec prawicy. Tam skończył właśnie Indalecio Prieto.

Front narodowy w Hiszpanii przyspieszył, w miarę rozwoju wypadków, proces krystalizacji lewicy socjalistycznej z Alvarez del Vayo i Louis Araquistana na czele. Hiszpańska lewica socjalistyczna zapoczątkowała proces wyzwalania się spod wpływów oportunistów i centryzmu.

W walce ze schorzeniem niemocy oportunistycznej lewicy robotniczej, w walce z centrystycznymi politykami, którzy całą swoją energię tracili na kleknie większości raz na prawo, raz na lewo od swojej partii, w walce ze skostnieniem tych „demokratów” w ruchu robotniczym, dla których demokracja mieszczańska XIX w., rzekomo apolityczne państwo, była Pismem Świętym, koranem, nieetykalnym tabu ustroju politycznego, krzepła i mężniała lewica socjalistyczna Hiszpanii. Lewica socjalistyczna u podstaw walki o demokrację widziała jednolity front klasy robotniczej. Nie było i nie mogło być dla niej wroga na lewicy. Pięknoduchom w polityce, którzy oddegnywali się od zbrojnej walki od pracy w bezpieczeństwie, lewica socjalistyczna przeciwstawiała czynny udział w rozgromieniu band faszystowskich. Sama koncepcja frontu narodowego, jako walki o osiągnięcia gospodarczych i politycznych warunków pokojowego rozwoju do społeczeństwa socjalistycznego, stworzyła klimat, w którym mogła współdziałać w Hiszpanii partia komunistyczna i wyzwolony z agentur obcych socjalizm, zachowujący swój program, właściwości organizacyjne, tradycje ideologiczne i historyczne, sztandary partyjne.

Są tacy, którzy z nieświadomości, albo dla pomylenia faktów twierdzą: lewica w ruchu robotniczym stale zwalczała tych, którzy głosili, że istnieje droga do socjalizmu przez parlament, poprzez uszanowanie legalizmu mieszczańskiego, tych, co uznawali ponadklasowość i apolityczność aparatu państwowego. Obecnie ta sama lewica dopuszcza możliwość, ba! nawet zmusza ku temu, aby stworzyć warunki pokojowego rozwoju socjalizmu. Oznacza to rzekomo, że lewica zbankrutowała wobec tych, których dotąd zwalczała!

*) Wstęp do drugiego wydania „Hiszpanii” nakł. „Książki”.

Pozorne podobieństwo nie może ukryć głębokich, istotnych różnic między teorią frontu narodowego, głoszącą możliwość dróg pokojowych do socjalizmu, a teorią pokojowego przetrwania do socjalizmu aparatu państwa wielko-kapitalistycznego - obszarniczego. U podstaw teorii frontu narodowego leży bowiem twierdzenie, że po to, aby mogły być stworzone warunki pokojowego rozwoju socjalizmu, należy równocześnie znieść aparat polityczno - policyjny państwa wielkokapitalistycznego - obszarniczego, jako też zniszczyć, poprzez głębokie reformy społeczne, jego potęgę gospodarczą. Długofalowy, pokojowy rozwój społeczeństwa do typu socjalistycznego jest możliwy wyłącznie i jedynie, kiedy z gospodarki narodowej zostaną usunięte kartele i trusty — ostoja kapitału finansowego, kiedy aparat państwa wielkokapitalistycznego zostanie zamieniony politycznym aparatem plebejskiej, ludowej demokracji. Różnica bardzo, a bardzo istotna; pojąć jej nie mogą, albo nie chcą, skapane w rosół mieszczańskiej oligarchicznej demokracji jesienne muchy ginącego świata, które obiadły socjalizm.

Nic dziwnego, że lewica socjalistyczna zbudziła taki szal nienawiści wśród ludzi typu Besteiro i Prieto, że zasłaniając się „niezależnością”, „suwerennością” swojej partii w Hiszpanii, kłatwą i represjami organizacyjnymi, starali się wypęczyć i zastraszyć ludzi lewicy socjalistycznej, okrzykując ich jako dywersantów.

Procesy polityczne są zjawiskami długofalowymi, które mogą być okre-

ślone jedynie i wyłącznie drogą działania grup ideologiczno - politycznych. Ruch robotniczy odrzucał i odrzuca metody puczystowskie, metody oddziaływania na kształtowanie się rozwoju socjalizmu poprzez agentów i „wtyczki”. Natomiast historia ruchu robotniczego zna nie jeden wypadek, gdy w strachu przed zjednoczeniem proletariatu drugie oddziały sztabów przeciwnika usiłowały, nasyłając do lewicy swoich wyszkolonych pracowników, którym była powierzona demagogia lewicowa, rozłupać od wewnątrz, rozbić jedność ruchu robotniczego.

Historyczną zasługą socjalistycznej lewicy hiszpańskiej pozostanie to, że przyspieszyła ona proces wyzwolenia ruchu robotniczego.

Niemniej ciekawe procesy rozpoczęły się w Hiszpanii w okresie wojny domowej również w innych warstwach społecznych. Radykalna inteligencja, tkwiąca w dziewiętnastowiecznych tradycjach walki o demokrację, rychło zrozumiała, że przeszła takiej demokracji nie stanowi oparcia w XX w. dla swobód obywatelskich, że stanowią one pomost do totalizmu. Stąd narowy apolityczności i neutralności inteligencji hiszpańskiej poczęły ustępować, tak samo jak spleśniała poza sceptycyzmu. Wojna domowa w Hiszpanii zrodziła pokolenie zahartowanych, nieugiętych i twardych bojowników. Pomogły temu przekształceniu inteligencji, jako też części mieszczaństwa te przemiany, które zaszły w wielu kołach katolickich tego kraju.

Katolicy hiszpańscy — mowa tu przede wszystkim o świeckim katolicyzmie

— bodaj pierwsi zrozumieli, że jeśli ich ideologia ma przetrwać, to jedynie w oparciu o nowe ukształtowanie sił społecznych. Stąd ruch katolików ba-skijskich tak silnie związany z lewicą tego kraju, stąd pisarze katolicy tej miary, co Josep Bergamin we froncie narodowym. Świecki katolicyzm hiszpański zrozumiał, że zeskorporowanie i związanie części hierarchii kościelnej z feudalnym ustrojem można przełamać jedynie i wyłącznie własną męską postawą.

Niemniej ciekawe przemiany nastąpiły i w tej części mieszczaństwa hiszpańskiego, które na swych barkach poczuło jarzmo kapitału finansowego i totalnej dyktatury. Demokracja ludowa daje temu mieszczaństwu, tak samo jak i rzemiosłu, realne możliwości rozwojowe, jako też długofalowe koncepcje, które pozwalają na spokojną pracę.

Procesy, o których mówimy, a nade wszystko proces przełamywania mitu legalizmu i formalnej demokracji, sprzyjającej wszystkim elementom, naruszającym raz po raz praworządność, proces przełamywania oporu prawicy frontu narodowego był jednak zbyt powolny, aby się ten front narodowy z obozu obrony, defensywy przed faszystem przekształcił w obóz ofensywy, obóz mający własną koncepcję nowego systemu władzy demokracji ludowej. Gdy już ta świadomość dojrzała, było za późno.

Lekcja hiszpańska nie poszła na marne. Hiszpania była pierwszą wielką próbą wojen ludowych przeciwko faszystom, zapoczątkowała ruchy zbrojne, które utrudniały i paraliżowały ofensywę hitlerizmu w okresie drugiej wojny światowej. Niezliczone ofiary, jakie spowodowała niemoc i nieudolność chwiejnej, niezdeterminowanej demokracji przedwojennej wobec faszystów — wywołały głębokie przeobrażenia w masach, szukanie dróg nowych, które stanowią będą tamę dla nawrotu reakcji. Nową sytuację frontów narodowych, powstanie ustrojów demokracji ludowej, plebejskiej ułatwiła klęska faszystów. Zwycięski w ciągu kilku lat hitlerizm zламаł i zdruzgotał aparat polityczny systemu sprzed 39 roku. Na jego zgliszczach demokracja ludowa zniweczyła władzę trustów, karteli i obszarników. Demokracja ludowa stworzyła swój własny aparat państwowy zarówno w administracji, jak w wojsku i bezpieczeństwie. Aparat ten często jeszcze nieposiadający tej kultury rządzenia, którą posiadała w wielu krajach europejskich dziewiętnastowieczna demokracja mieszczańska stworzył jednak warunki pokojowego rozwoju do socjalizmu, skupiając wokół siebie najszerze warstwy narodu.

Stabilizacja ustroju nowego typu spędza sen z powiek tym, którzy w obawie przed usamodzielnieniem Hiszpanii montowali obóz Gil Roblesa, stąd próba kreowania nowych Gil Roblesów: Stanisław Mikołajczyk jest tylko powtórzeniem, przy zastosowaniu tego samego szablonu i tej samej techniki, doświadczenia hiszpańskiego. Gil Robles odżegnywał się od Franco, Stanisław Mikołajczyk odżegnywał się od Andersa. Obaj za dymną zasłoną walki o rzekomą legalizm i formalną demokrację są tylko firmą, wywieszką dla obozu wojny domowej, który ma wszelką praworządność w kraju zniszczyć. Tak samo, jak morderca tysięcy Hiszpanów — Franco wołał o legalizm, tak samo mordercy Andersa, mordercy setek bojowników o demokrację w Polsce, wołają z trybuny Izby Gmin o aresztowaniach i terrorze w Polsce.

Tak jak gdyby się nic nie zmieniło. Jak gdyby tragedia hiszpańska miała się powtórzyć. Tragedia hiszpańska w Polsce powtórzyć się nie może i nie powtórzy, gdyż obóz demokracji jest starszy o lekcję hiszpańską, o Monachium, o przemiany podczas drugiej wojny światowej i o 2 lata nawrotu polityki anglosaskiej w stosunku do Niemiec, do koncepcji Nevillea Chamberlaina. A silniejszy jest od frontu narodowego w Hiszpanii o swój aparat państwowy, swoje wojsko, swoje bezpieczeństwo, a nade wszystko o reformę rolną i unarodowienie karteli i trustów.



Gen. Swierczewski (Walter) z Pasionarią

III.

Obraz doświadczeń hiszpańskich frontu narodowego byłby niezupełny, gdybyśmy poprzestali wyłącznie na miśsternej grze „demokratów” tzw. anglosaskiego typu, gdybyśmy poprzestali tylko na źródłach niemocy frontu narodowego.

Doświadczenie dziesiątków lat walki ruchu robotniczego uczy nas, że grzechy i schorzenia prawicowe tego ruchu idą w parze nieodłącznie niemal i stale ze schorzeniem i grzechami dziecięcej, czy też starczej choroby ultralewicowości, blankizmu czy też anarchizmu.

Te oba wypaczenia teorii i praktyki ruchu robotniczego są tak nierozłączne ze sobą, że klasyki współczesnego marksizmu na zapytanie, które z nich jest gorsze odpowiada: oba są gorsze.

Ultralewicowość w Hiszpanii, sekciarstwo i awanturnictwo ruchu robotniczego miały głębokie tradycje w ruchu anarchistycznym tego kraju, ruchu, który jeszcze w ubiegłym wieku niósł nieraz ze sobą romantyczny porwawolucyjny, zaś w wieku XX stał się jedynym i wyłącznym nosicielem błędnych i szkodliwych teorii.

Pojęcie anarchizmu jest ściśle określone, jako ultralewicowe wypaczenie dążeń tych — co zamiast wytrwale i cierpliwie posługiwać się metodą naukową ruchu robotniczego i starać rozszerzyć front sojuszników i wpływu proletariatu, zamiast spokojnie i konsekwentnie utrzymywać jego zdobycze — niosą ze sobą histeryczne, nerwowe metody i chwytanki blankistowskie.

Charakterystyczną cechą tego schorzenia jest niezrozumienie roli sojuszu i partnerów w walce o demokrację ludową. Dla ultra-lewicowca stosunek przyjaźni i szacunku do mas bezpartyjnych, docenianie nastrojów mas robotniczych w dążeniu do sojuszu z chłopstwem, dążenie do oderwania drobnomieszczaństwa od wpływów faszystowskich, ba! samo mówienie o drobnomieszczaństwie jest już odstąpieniem od nietykalnych najczystszych w ich mniemaniu rzekomo zasad socjalizmu. Dziecięca choroba lewicowości często jest również pozą pseudoradykalnej inteligencji, absolutnie nic nie rozumiejącej i nie znającej historii ruchu robotniczego.

Ta postawa ultralewicowa, pozostałość anarchizmu w Hiszpanii, nieraz przyczyniła się do utrudniania pracy i poczyniła kierowników frontu narodowego w Hiszpanii.

Słowa te piszę w chwili, gdy front narodowy, w walce o pokój i spokój w kraju, w walce z polskim obozem wojny domowej, finansowanym przez tych, którzy byli sprawcami tragedii hiszpańskiej — stacza jeden z ostatecznych bojów o stabilizację ustroju demokracji ludowej w Polsce. W tej walce od kul skrytobójców giną najlepsi, ci co na straży interesów swego narodu w najgłębszej wierze w sprawę, której służą walczą na pierwszym posterunku, aby się w Polsce tragedia hiszpańska nie powtórzyła. Ich pamięci niech mi wolno będzie tę książkę poświęcić.

Jerzy Borejsza

Styczeń 1947.

ROZMAITOŚCI

SŁOWO DO KRYTYKA

Mówiąc: „literatura się opóźnia”, można mieć wiele na myśli, ale należy pamiętać, że dzieło literackie nieraz krystalizuje się dłużej, niż proces świadomości. Pisarz może w pewnym momencie ogarnąć intelektualnie rozległą perspektywę rozwoju zjawiska, lecz to nie znaczy, by moment ten zawsze mógł stać się momentem tworzenia. Często następuje on później. Dzieło literackie nie powstaje z sumy arytmetycznej: świadomości plus środki formalne. Już osiągnięta przez pisarza pewność intelektualna musi czasem długo torować sobie łóżysko w warstwach uczuć i wzruszeń, aby odgrzebać z głębokich pokładów przeżytych zjawisk — obraz, scenę, słowo, ich zespół wreszcie.

Stefan Żółkiewski, zarzucając w miesięczniku społeczno - politycznym „Nowe Drogi” (Nr. 1 styczeń 1947) literaturze minionego dwulecia opóźnienie w stosunku do narastania przemian w świecie inteligencji polskiej i nie nadążanie za tempem przeobrażeń ogólnospołecznych — ma niewątpliwie słuszość. Ma również słuszość, gdy pisze:

„Nie znaczy to, by literatura nasza nie zauważała dokonywujących się przemian kultury polskiej. Raczej przeciwnie, należy podkreślić, że pisarze nasi czujnie reagują na szeroko pojętą problematykę demokracji ludowej. Ale nie umieją spojrzeć na konflikty istotnie żywe dla całego społeczeństwa — z równie szerokiej i ogólnej perspektywy. Zawsze ujmują je wąsko — w ramach konkretnych sytuacji inteligencji jako odrębnej grupy. Stąd na czoło naszego dorobku pisarskiego z ostatnich dwu lat wysuwa się szereg prac, które chciałyby się nazwać „rachunkami sumienia” polskiej inteligencji. Będzie to większość nowel Andrejewskiego i Hertza, niektóre nowele Rudnickiego, Brezy „Mury Jerycha”, Dygata „Jeziorek Bodeńskie”, Brandysa „Miasto niepokonane” i „Drewniany koł”, Otwinowskiego „Nagrodek” i „Wielkanoc”, Ważyka „Stary dworek”. Lista ta zawiera większość artystycznie cennych, przodujących pozycji bibliograficznych naszego dwulecia. Te ob-rachunki z wadami postawy inteligencji w latach międzywojennych są wyrazem godziwej troski i słusznego niepokoju. Ale są to obrachunki przerwane w połowie”.

Powtarzam — zarzuty są słuszne. Ale krytyk tak głęboko czujący zgodzi się za pewne na słowo, które uczyni, być może, jego sformułowanie pełniejszym.

Dzisiejszy pisarz — inteligent to osoba z przeszłością. Wyrósł z dwudziestolecia,

klęskę zrozumiał dopiero oślepiony jej gromem. Nie może tego okresu suchą stopą przekroczyć, nie może oszukać samego siebie. Tam, w tych czasach, rośło wraz z jego losem to, w czym dziś zanurza pióro: obraz, przeżycie, przygoda. Fakt, że okres ten został przez niego przeżyty z gorzkiem i wyniosłym poczuciem własnej samotności, jest prawdą tylko psychologiczną, a nie popartą obiektywną racją. To pewne. Ale to subiektywne odczucie musiałoby znaleźć swój wyraz w literaturze inteligentnej, „rachunku sumienia”, jak nazywa Żółkiewski dorobek prozy dwulecia. Musiałoby — właśnie dlatego, być może, iż zawarty w nim fałsz stał się socjologicznym faktem tego czasu, w świetle swych następstw, w świetle swej dramatycznej sprzeczności z prawdą społeczną — go rozwoju, który miał go obnażyć dość okrutnie.

Rachunkom inteligentnego sumienia w prozie dwulecia krytyk — przyjaciel powinien zaufać, dać kredyt na przyszłość. Dokonał się w nich pierwszy krok, którego nie trzeba lekceważyć. Pisarz średniego pokolenia klerków rozumiał, że jego samotność nie istniała społecznie, nie istniała historycznie, nie istniała obiektywnie; że jej odczucie było tylko obronną obsesją jego psychologii.

Czy dobra była ta obrona? Na pewno nie. Ani skuteczna, ani heroiczna, ani umiętna. Rozumiem, że organ KC Polskiej Partii Robotniczej, którym są „Nowe Drogi”, uznał za celowe wytknąć pisarzom ich błędy. Lecz krytyk literacki, sprzyjający sprawie tworzenia, pojmie niewątpliwie jej trud i zgodzi się, że utwory ostatnich dwóch lat, które wymienił w swojej kronice, są pierwszą próbą inteligentnej rewizji minionych omyłek.

Utwory te bowiem nie chcą naruszyć psychologicznej prawdy człowieka, który błędził — ją właśnie, jej rewers, jej chrobrliwość, jej źródło i skutek nieraz wskazują, mniej lub więcej dobitnie, jako prawdziwą treść dramatu polskiego inteligenta. Oczywiście — i tu tkwi siła racji Żółkiewskiego — społeczny sens tego dramatu nie został jeszcze ukazany w żadnym z utworów ostatnich dwóch lat prozy polskiej. Dokonał tego pisarz, który w swej kompozycji potrafił przedstawić artystycznie ów subiektywizm inteligentnej samotności przez jego konfrontację z obiektywną prawdą społeczeństwa. Będzie to pełny, zamknięty rachunek sumienia za okres minionego lat.

Kazimierz Brandys

STANISŁAW EHRlich

REFORMA STUDIÓW PRAWNICZYCH

Przeszło rok temu w „Kuznicy” (nr z 1.8.45 r.) dyskutowałem o reformie studiów prawniczych. Dyskusja ta, która była zresztą kontynuacją sporów toczonych dość namiętnie w Polsce i przed wojną, nie pozostała bez efektu. Minister Oświaty podpisał bowiem nowe rozporządzenie w sprawie organizacji studiów prawniczych, które godzi się omówić przed szerszym forum, ponieważ dotyczy nie tylko sprawy przygotowania do jednego z zawodów, ale zagadnień, których humanistyczny charakter w ogólności nie może budzić wątpliwości.

UNIwersytet czy szkoła zawodowa

Z problemów, jakie się wyłoniły, na czoło wysunęła się zasadnicza sprawa samego charakteru studiów. Trzeba było na wstępie rozstrzygnąć zagadnienie o charakterze prezydialnym czy reformy ma być tak daleko w swojej tendencji do uprządkowania, by wydziały prawne przelotczyły się w wyższe szkoły zawodowe?

Oczywiście wejście na tę drogę oznaczałoby początek końca uniwersytetu, pojętego jako universitas litterarum, universitas scientiarum. Zwolennicy poglądu, który w swoich konsekwencjach zmierzał do rozparcelowania uniwersytetów na poszczególne wyższe szkoły zawodowe nie dostrzegali, że siła wszechwładna w owym szczęśliwym połączeniu badań naukowych i nauczania, które przetrwało starożytności.

Trafnie pisał prof. Winiarski: „Istota Uniwersytetu jest daleka od tego, by być twórcą badawczą pracę naukową z nauczaniem, i to tak zupełnie, że kto by chciał rozdzielić te dwie jego funkcje, zaprzeczyłby samej idei Uniwersytetu”. (Bohdan Winiarski, Zagadnienia organizacji studiów prawniczych, Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny z 2-gi 1937, s. 133).

Na ten charakter uniwersytetu zwraca także uwagę Tadeusz Czerwinski (O uniwersytecie i studiach uniwersyteckich, Toruń 1946).

Trzeba jasno powiedzieć, że tendencje do rozczłonkowania uniwersytetów na wyższe szkoły zawodowe nie są wcale wyrazem prawd nowożytnych. Z jednej strony wystarczy wskazać na to, że Rechtsakademien rozwinęły się w Austrii w okresie absolutyzmu, a z drugiej strony uniwersytety zostały zachowane w Związku Radzieckim obok instytutów, które noszą tam charakter wyższych szkół zawodowych.

Idea jedności nauki, tak często zapomniana w wyższych szkołach zawodowych krzyczy się w klimacie uniwersyteckim, w którym nawiązywanie łączności pomiędzy poszczególnymi gałęziami wiedzy jest łatwiejsze zarówno dla profesora, jak i studenta.

Trzeba było zatem znaleźć drogę, która nie zmieniając wydziału prawnego w szkołę zawodową, uprządkowałaby jednak te studia na tyle, by absolwenci byli przynajmniej przygotowani do rozpoczęcia praktyki.

Na większości wydziałów prawnych teoria była tak gruntownie odseparowana od praktyki, że studenci nie mieli często wyobrażenia o prawniczych zawodach.

Wprowadzenie kierunków (a nie studiów) specjalnych: cywilistycznego, kryminalistycznego i administracyjnego (z możliwością tworzenia dalszych), ćwiczeń obowiązkowych i praktyk wakacyjnych jest właśnie ta droga umiarkowania, która powiaże teorię z praktyką i pozwoli skrócić okres aplikacji lub praktyki administracyjnej.

„JARZMO DOGMATYKI”

Zagadnienie dogmatyki, jako metody badawczej w dziedzinie nauk prawniczych nie było rozpatrywane dopiero w związku z reformą studiów prawniczych.

Od dawna zwracano uwagę na „izolujący” charakter tej metody, na jej bezduszny formalizm, który w abstrakcyjnych „konstrukcjach” gubił realne stosunki. Bardzo dobitnie sformułował Wydział Prawa Uniwersytetu Łódzkiego swoje pretensje do dogmatyki. W uzasadnieniu projektu studiów filozoficznych i psychologicznych dla prawników tego Wydziału czytamy: „Jeżeli w okresie Odrodzenia nastąpiło wyzwolenie spod jarzma dogmatyki nauki i sztuki a nawet religii, obecnie powinno nastąpić tak opóźnione wyzwolenie prawa. Dogmatyka nie tylko uniemożliwia swobodne dociekania w dziedzinie prawa, lecz także normalny rozwój kultury społecznej. Istotnie prowadzi ona do teokracji i monarchii absolutnej oraz do takiego usztywnienia stosunków społecznych, że zmiana ich drogą ewolucji staje się prawie niemożliwa. Stąd wynika tak często zniechęcenie do prawa, jako wyrazu niewoli i niesprawiedliwości”.

Co do mnie mam wątpliwości, czy dogmatyka prowadzi do teokracji i monarchii absolutnej. Ale nie to jest ważne w tej chwili. Cytat przytoczony jest znamienity, ze względu na wysunięty postulat „odformalizowania” studiów prawniczych przez umożliwienie studentowi zaznajomienia się z pewnymi zagadnieniami filozofii. W gruncie rzeczy i śp. rektor Kutrzeba, domagając się przekształcenia wydziału prawnego na wydział nauk społecznych godził właśnie w dogmatykę.

Jasne, że dogmatyki nie można eliminować, choćby ze względu na jej wartości koordynujące i systematyzujące, których nie wolno lekceważyć. Prawnik, zwłaszcza cywilista, musi być dogmatykiem, ale jeśli ma być dobrym prawnikiem nie może być tylko dogmatykiem. Musi mieć perspektywę, jaką daje minimum filozoficznego wykształcenia, lecz przede wszystkim musi rozumieć organiczny związek pomiędzy normą prawną, jaką bada, a podłożem gospodarczo - społecznym, z którego norma ta wyrosła.

Stąd w programie nie tylko wstęp do nauk prawniczych o charakterze encyklopedycznym

na I roku (w rozmiarze 30 godzin), ale i teoria prawa na latach późniejszych, jako przedmiot obowiązkowy i historia filozofii ze szczególnym uwzględnieniem historii filozofii prawa, jako przedmiot fakultatywny. Dalej socjologia jako przedmiot do wyboru i społeczne doktryny społeczne jako przedmiot obowiązkowy. Tu trzeba wyjaśnić, że współczesne doktryny społeczne, to nie *silva rerum*, ale dyscyplina, która ma wpoić studentom znajomość nieodłączną takich prądów, jak liberalizm, ruch chrześcijański - społeczny, marksizm, faszyzm. W tych materiałach musi zapanować jasność i tolerowanie ignoracji w tej dziedzinie nie może trwać dłużej. Oczywiście nasuwa się pytanie, czy nie byłoby bardziej celowym wprowadzenie jako przedmiotu obowiązkowego historii ustrojów, albo ruchów społecznych. Mówiąc szczerze należałoby się obawiać, że pewne doktryny zostałyby wtedy utopione w powodzi szczegółów nagromadzonych na przestrzeni wieków. Dlatego zostały zaakcentowane zagadnienia istotne ze świadomości, że jest to rozstrzygnięcie tymczasowe, zmierzające do odrobienia zaległości, i że to uchybienie metodologiczne, popełnione „z rozcznieniem” w przyszłości zostanie usunięte.

„PRAWO RZYMSKIE PRZESTAŁO ISTNIEĆ”

Niektórzy zwolennicy radykalnych reform w materii studiów prawniczych — nawiązując do krótkości „maksymalistami” — czepiac swoje natężenie z uchwał wileńskiego zjazdu młodych prawników — zadeklarowali się nie tylko jako wrogowie dogmatyki, lecz również jako przeciwnicy dyscypliny historycznych. Lekceważenie to obejmowało zarówno historię prawa rodzimego, jak i prawo rzymskie. Nieomal wysuwano postulat skomasowania wszystkich dyscyplin historycznych w jedną. Wszystko pod hasłem wychowania techników społecznych — jakimi mają zostać prawnicy przyszłości. Piękne to hasło o ile nie ma być rozumiane w duchu znanego „dzieła” powieszonego już Hansa Franka „Die Technik des Staates” nie powinno prowadzić do cięsnego praktycyzmu i sekularskiego utilitaryzmu.

Nie można się oburzać na dogmatykę, a jednocześnie gilotynować dyscyplin historyczne. Jedno z dwóch.

Dyscypliny historyczne powinny stać się odrębna przeciw przerosłemu dogmatyki. Można się domagać, aby przedmioty historyczno-prawne nie były traktowane jedynie pod kątem rozwoju instytucji prawnych, aby nie były zdogmatyzowane, aby wykładano je w powiązaniu z rozwojem społeczno - gospodarczym, ale nie można ich — tout court — wy-

zucać za burę. Jeżeli, oczywiście, nie chcemy wychować absolwentów, nieświadomych nawet własnej ignorancji.

Zagadnieniem odrębnym jest sprawa wykładu prawa rzymskiego. Przed laty prof. Znamierowski, obserwując konfuzję, jaką w młodych umysłach wywołuje prawo rzymskie podawane w sposób dogmatyczny, zaproponował przesunięcie tego wykładu na lata późniejsze. Na kilka lat przed wojną z okazji prac podjętych przez zrzeszenie młodych prawników nad reformą studiów prawniczych myśl ta była wysuwana z wielką energią, przy czym wyrosła się w jakieś lekceważenie dla prawa rzymskiego w ogóle, za co prof. Znamierowski oczywiście nie mógł ponosić odpowiedzialności. Nie można się oprzeć wrażeniu, że proces ten dokonał się pod wpływem ideologicznym — u wielu na pewno nieświadomym — naszego zachodniego sąsiada, sąsiad wschodni, bowiem, po okresie błędów, których się wyrzeczono, przywrócił prawu rzymskiemu w programie studiów prawniczych należne miejsce.

Uosobek prawa rzymskiego w Niemczech historyków znalazł swój wymowny komentarz w przemówieniu Hansa Franka, wygłoszonym w Krakowie w „Institut für Ostarbeiten”: „Prawo rzymskie musimy wykreślić, bo dało ono początek demokracji i liberalizmowi”.

O szerokim zasięgu zagadnienia świadczy i to, że istota sprawy dojrzała nie tylko prawnicy. W noweli Aragona „Prawo rzymskie przestało istnieć”, major korpusu sądowego von Lüttwitz Randau, chwalcą *luris germanici* powiada:

„Prawo rzymskie jako podstawa nowoczesnych ustawodawstw, to oburzający absurd, sprzeczny z duchem niemieckim. Nie mówię o Kodeksie Napoleona; już to samo, że przetrwał w prawach niemieckich, osadza te prawa dostatecznie”.

A dalej, już przed sądem polowym partyzanów francuskich pan major wygłasza taką opinię o procesie o podpalenie Reichstagu: — „O, tak, nasze sądy zachwyczone były jeszcze wtedy przez prawo rzymskie, Kodeks Napoleona i ustawy żydowskie... Dzisiaj byśmy nigdy nie pozwolili, aby został zwolniony Dymitrow, skazano by go według prawa niemieckiego”.

Niezawodna wnikiwość poety pozwoliła mu uchwycić i obnażyć związki zachodzące między procesami bardzo skomplikowanymi.

Któż może jeszcze mieć wątpliwości, że nieznanie prawa rzymskiego, to nieznanie najwęższych pomników ludzkiej kultury?

Po rozpatrzeniu wszystkich faz kontrowersji na temat dyscyplin historyczno - prawnych autorzy nowego programu zgodzili się z opi-

nia wyrażona w projekcie przedwojennym grupy krakowskich profesorów (Kutrzeba, Adam Krzyżanowski, Lande, Wolter, Heydel, Gwiazdomorski, Starzewski), według której przedmioty historyczno - prawne powinny pozostać podbudową studiów prawniczych.

Nie znaczy to jednak, że prawo rzymskie mało odgrywać rolę szkoły prawniczego myślenia. Wprowadzenie takiego przedmiotu jak powszechna historia ustrojów i prawa rozszerzy widnokrąg antycznego ustroju państwa i społecznego, ukaże, jak powstał ustrój oparty na niewolnictwie, zapozna nie tylko z prawami greckiej demokracji antycznej, ale i z pomnikami prawa Egiptu i Babilonu, cennego dorobku ludzkości, którego nie ma powodu zatajać. Idąc za radą p. rektora Kotarbińskiego wprowadzono na I roku wykład logiki w rozmiarze 30 godzin przy 60 godzinach obowiązkowych ćwiczeń. Może inowacja ta przyczyni się do rozproszenia przesady, jakoby istniało specjalne „myślenie prawnicze”. Filozofowie tłumaczą prawnikom cierpliwie i pobłażliwie: jest tylko myślenie poprawne.

WYZNANIOWE PRAWO PAŃSTWOWE

Zasada rozdziału Kościoła od Państwa, przyjęta w naszym ustroju nie może pozostać bez wpływu na kwestię czy prawo kościelne, ma pozostać w programie studiów prawniczych w postaci niezmiennego, czy też ma być zastąpione przez przedmiot, traktujący o stosunku Państwa do kościołów, ze szczególnym uwzględnieniem administracji wyznaniowej. W takim przypadku historyczny wpływ Kościoła i doktryny prawa kanonicznego należało by wyświecić w ramach wykładu, poświęconego powszechnej historii ustrojów państwowych i prawa.

W kierunku przekształcenia tego przedmiotu wypowiedziała się Komisja Główna do spraw studiów Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego „wychodząc z założenia, że katedra prawa kanonicznego nie może służyć za oparcie dla jakiegokolwiek wpływu na młodzież i naukę czynników kościelnych”. Komisja specjalna Rady Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego w tym przedmiocie zgłosiła następującą tezę: „zniesić prawo kościelne przy wprowadzeniu przedmiotu n.t. „Administracja wyznaniowa”. Za utrzymaniem prawa kościelnego wypowiedziała się Rada Wydziału Uniwersytetu Warszawskiego i Jagiellońskiego, przy czym ta ostatnia powołała się na przykład Francji.

Atoli kiedy na konferencji w Ministerstwie Sprawiedliwości w dn. 16 i 17 maja ub. roku z udziałem wybitnych profesorów, reprezentujących najróżnorodniejsze poglądy, znawca sto sunków panujących na wyższych uczelniach we Francji wyznał, że na wszystkich wydziałach prawniczych uniwersytetów państwowych jest tylko jedna katedra historii prawa kanonicznego, przy czym przedmiot ten nie jest obowiązkowy dla studentów — zapadała jedynomyślna uchwała konferencji, żądająca zastąpienia prawa kanonicznego przez wyznaniowe prawo państwowe.

HORYZONT STUDENTA

Charakterystyczną cechą programu obowiązującego przed wojną było zaciśnięcie problematyki skutkiem tego, że lista przedmiotów wykładowych nie pozwalała na ograniczenie całości zagadnień państwa i prawa. Na drodze rozszerzenia problematyki weszła już nowela z 12.8.1939 r. (§ 4), obecnie obowiązująca idzie jeszcze dalej. O niektórych przedmiotach była już mowa. Zmiany ustrojowe podyktowały wprowadzenie takich przedmiotów, jako obowiązujących, jak prawo pracy i prawo agrarne. Pierwsze wykształciło się już bezspornie w odrębna dyscyplinę, drugie od czasu ukazania się pracy Władysława Leopolda Jaworskiego: „Projekt Kodeksu Agrarnego” może do tego pretendować.

Student według nowego programu będzie musiał ponadto wybrać jeden z dwóch przedmiotów: ustrój i prawo krajów anglosaskich lub ustrój i prawo ZSRR. Wykształcenie prawnicze bowiem, które nie daje elementarnej znajomości porządku prawnego obowiązującego na większej części globu, nie może być uważane za dostateczne.

LIBERALNY I EKSPERYMENTALNY CHARAKTER NOWEGO PROGRAMU

Nowy program stanowi krok naprzód na drodze przebudowy wydziałów prawa w wydziałach nauk społecznych. Program stara się nie krepować studentów, nadając tylko zasadniczy kierunek studiom, poza którym studenci mają swobodę wyboru. I tak studenci wysłuchują na I lub II roku jeden z trzech przedmiotów: historii filozofii ze szczególnym uwzględnieniem historii filozofii prawa albo socjologie, albo statystykę. Na latach III i IV poza wyborem między ustrojem i prawem anglosaskim lub ZSRR, z których jeden przedmiot jest obowiązkowy, student dowolnie wybiera jeden z kierunków specjalnych.

Ponieważ jednocześnie program ma charakter eksperymentalny, Radom Wydziałowym została pozostawiona duża swoboda zwłaszcza w zorganizowaniu studiów na wyższych latach. Rady Wydziałowe decydują więc jakie przedmioty muszą być wykładane na III, a jakie na IV roku studiów. Rady Wydziałowe same decydują, jakimi przedmiotami wypełnić każdy kierunek specjalny, ponieważ ilość godzin wykładowych, wynosząca na każdym kierunku 250 nie została przez program wyczerpana. Ponadto Rada Wydziałowa może utworzyć inny kierunek, programem nieprzewidziany.

Myślę, że nie należy obawiać się eksperymentu, jeżeli jego przeprowadzenie zostało powierzone dłoniom doświadczonym.

Stanisław Ehrlich

ANDRZEJ BRAUN

BOCZNY TOR

Soczystych kalin ostre strzepy
i gąszcz koliste przelamany,
środkiem kłęgosłup brudnych szyn
żarem rozchwyany.

Sosny opuszczające głowy
zasychały w ciepłej żywicy —
i tylko smarów tłuszcz brązowy
drżał w zwężonych żrenicach.

Blask niby woda. Nieruchomość —
a nagle płonie las bez dymu,
to nazbyt żółta kłoców nagość
wessała słońce swym szlacheć.

Są takie porzucone domki,
brudne pudełka od zapalek,
a właśnie jeden się przybłąkał
nad plant, i został tu na stałe.

W środku był mroczny, pachniał dzlegciem,
wyschnięty, nieczem mumia.
Ale pamiętał czasy lepsze,
więc miledzał, tak jak umiał.

Wszystko tu tkwiło nad wspomnieniem:
szyn pordzewiałych starczy wdzięk,
mchy zasuszone, wrzosów pęk,
tracąca ciężar moc zieleni.

Tu nie nie znaczył pion południa
jak echa ptaków na cmentarzu.
W tym domku już nie mieszkał dróżnik,
lecz tylko moja wyobraźnia.

I nad czym dumiał pomarszczony
szlakiem podkładów, z lasem splecion
i jakie w sobie zamknął sceny:
oto zagadka dla poety.

W DRODZE

Goście miał paznokcie mróz,
gdy rozdrapywał nam policzki;
a śnieg śmiał gęsto, niby kurz,
zapudrowane dnia oblicze.

Parowóz drżał, jak zmarzły pies,
zapłonął jasno, śnieg oziębł;
lecz zrozumiałby był nasz gest
palaczom czarnym od dobroci.

Złączyło słowo, wspólny los,
ten cierpki osad ludzkich zmartwień.
Błumber, jak buchający pot,
lub oczy izawe, lecz otwarte.

Więc kupiliśmy cały litr,
co jak podłużna perła gorzał
i zrozumiałby myśli błysk
ludzi z wnętrza parowozu.

DON BASILIO

PRZERAŻENIE W NIEBIE



— Czy czytałeś, Panie Boże, ostatni numer „Popolo”? Zrobili Ci honorowym kandydatem Demokracji Chrześcijańskiej w naszych wyborach.

MODLITWA ZA UBOGICH



O mój Boże! Zatrósz się wreszcie o domy dla bezdomnych, ponieważ chcą zabrać pięćset pokoiów z mojego pałacu.

KAMPANIA WYBORCZA



Wszystko co zdrowe, szlachetne i uczciwe w narodzie głosuje na Demokrację Chrześcijańską i dlatego, o wierni, liczymy przede wszystkim na was.

KTO SIEJE... ZBIERA...



Zastrzyk w seminariach duchownych.

Kara „duchowna“

„DON BASILIO”. — Przed niedawnym czasem oburzały się niektóre dzienniki polskie, że redakcja rzymskiego, antykatolickiego pisma satyrycznego, „Don Basilio”, została przez władze kościelne ostrzeżona, że z powodu ataków na religię czeka ją ekskomunikacja. „Jak to? W XX wieku? Ekskomunikacja?” — pytały, jakby zapominając, że prawie nie ma na świecie dziś jednego państwa, które by nie bronilo się, jak może, przed swymi wrogami. Państwa bronią się obozami koncentracyjnymi i więzieniami; Kościół broni się — karą duchowną. Cóż w tym dziwnego... Sprawa „Don Basilio” ma jednak swój dalszy ciąg. Oto z dn. 22.12 1946 r. w niedzielę IV Adwentu pięć przed bazyliką św. Piotra w Rzymie wypełnił tłum 70 tys. katolików Rzymu i okolic, którzy przybyli, by swym udziałem w nabożeństwie polowym zmanifestować swe przywiązanie do Głowy Kościoła, łzonej przez „Don Basilio”. Po Mszy św. przemówił Papież, podkreślając widoczny już dziś fakt podziału ludzkości na dwa obozy: z Chrystusem i przeciw Chrystusowi... W parę dni potem Sąd państwowy w Rzymie z oskarżenia publicznego skazał dwóch redaktorów „Don Basilio” na karę dwóch lat ciężkiego więzienia „za zwalczanie religii państwowej”.

„Tygodnik Powszechny” z 19.1 1947 r.

Prawo głupoty

Prawo głupoty jest tak absolutne jak ostrze noża.

A nóż ten dał do ręki głupcom historyczne lotry i szalbierze.

Fanatyzm zna wszelkie odmiany bydlęcego gatunku: tygrysów, psów, małp ale i lisów; tych bobał najwięcej. Dość przywieść na pamięć ogromy fałszu i potwarze zwalone przez fanatyków rzymskiego kościoła na głowy lańtyków kalwinizmu lub jezuitów przeciw Jansenistom i odwrotnie.

Nad całą tą kłódką górą larwa dwójśmięchu, duch nawracający „błądzących” na prawdziwą wiarę przy pomocy fałszu.

Obmierzłość ludzkiego nabożu narzucenia jasnym oczom ciemnych okularów pchnęła

dwóch jezuitów w dom Monteskiusza, gdy był już na łożu śmierci... Najsprośniejszy mniach wyrwie się z ramion kochanki gdy mu powie, że na drugim końcu świata zdechła jakaś wysoka warta nawrócenia dusza.

Wiec dzień i noc prosimy Boga, by nas wybawił od fanatyzmu, tak jak pielgrzymujący do Mekki proszą Go, aby w drodze nie napotkali ludzi o posępnym obliczu.

WOLTER — Ze „Słownika Filozoficznego“

O wolności myśli

Interesy ludzkości — interesy człowieka wymagają wolności sądu, sumienia, wyznania. Bez tolerancji niepodobna sobie dziś wyobrazić wielkiego państwa, wielkiego ludu. Ale „wolność” myśli prowadzi do moralnej zguby. Od wieków wypisano tę niedorzeczna zasadę na bramach instytucji państwowych i kościelnych.

Należałoby stąd sadzić, że zaledwie czlorwiek poczytna myśl wnet opadała go węze grzechu.

Rzeczywistość na każdym kroku zaprzecza tej prawdzie: wśród zbrodniarzy widzimy więcej ludzi ciemnych niż myślicieli...

Zdawałoby się co więcej, że właśnie ludzie wielkiej wiary powinni wołać o tolerancję najszerzej i najbezwzględniej: ażeby w krajach, gdzie tworzą mniejszość, mogli swobodnie wykonywać prawo swego kultu...

Nic z tego.

Mówią dalej, mówią a raczej gadają, że wolni myśliciele zagrażają całości społeczeństwa jako sekta.

Mówi się tu o jednostkach, których wyznaczenie wiary polegało zawsze na pierwszej, niezłomnej zasadzie swobody i dostojności myśli. Występować zaś solidarnie przeciw sekciarzom i prześladowcom nie znaczy jeszcze tworzyć sekty, tak samo jak gnąść gnębiciela nie znaczy prawdy uszczuplać, ale bronić najświętszych praw, jakie człowiekowi nakazuje — świadomość...

WOLTER — Ze „Słownika Filozoficznego“

BRONMY MORALNOŚCI



Sza! Mówiłem ci już tyle razy, abyś wołał na mnie ojeze duchowny, a nie tatusiu!

TROSKLIWOŚĆ



— Śmiało dzieci, zbudujmy nowy kościół, abyście mieli gdzie prosić Boga, żeby Rząd dał wam wreszcie mieszkania.

NIEWINIATKO



Podłe oszczerstwa! Ja, widzicie, jem zaledwie dwa razy dziennie.

CHYTRY CYRENEJCZYK



Biedny Chrystusie, porzuć wreszcie ten ciężki krzyż... a teraz kiedy ci już zabrałem ten ciężar, naprzód dla triumfu klerykalizmu.

NOWY MARSZ NA RZYM



Kolumny wiernych manifestują swoje przywiązanie do Głowy Kościoła.

ROZMOWY „KUŹNICY”

SPRAWY polityki kulturalnej i rola Ministerstwa Kultury i Sztuki wywoływały już nieraz ożywione głosy w prasie literackiej. Podajemy rozmowę, przeprowadzoną na ten temat w gronie „Kuźnicy” przy udziale zaproszonych gości.

St. Żółkiewski: Chciałbym abyśmy pomówili o osławionej już dziś instytucji — Min. Kultury i Sztuki, aby rozmowa dotyczyła nie tylko tego Ministerstwa i jego wewnętrznych spraw organizacyjnych, ale zagadnienia polityki literackiej i w ogóle kulturalnej. Okres powyborczy będzie sprzyjał rewizjom poglądów i reformom administracyjnym. Czas jest właśnie rozważyć celowość istnienia Ministerstwa Kultury i Sztuki w jego dotychczasowej formie, z jego dotychczasowymi kompetencjami. Panuje w świecie artystycznym sugestia, że istnienie Ministerstwa Kultury i Sztuki jest gwarancją opieki Państwa nad kulturą. Nie sądzę, żeby tak było. Sztuka w tej chwili raczej traci z powodu powołania do życia tego Ministerstwa, niż wyraźnie zyskuje i bynajmniej nie sądzę tego bezpodstawnie. Sfery administracyjne lekają się jednak radykalnych posunięć, gdyż żyją pod sugestią, że świat artystyczny jest innego zdania. To nie są rzeczy wyssane z palca. Kiedy chciano zlikwidować departament Literatury cały szereg ludzi położył się w poprzek, choćby J. N. Miller. Jak wiemy, Ministerstwo składa się z różnych wydziałów, departamentów. Departament musi mieć wydział, wydział musi mieć naczelnika, naczelnik to jeden człowiek, ale człowiek ten musi mieć przy sobie szereg ludzi, musi mieć referenta, referent — maszynistkę, i musi zacząć kłopotać się — co robić. Departament zaroił się od ludzi, płyną pieniądze, ale co się zmieniło? Praktycznie wiemy, jak Ministerstwo Kultury i Sztuki zajmuje się sztuką czy kulturą. Jak to wygląda?

Sprawa kultury mas właściwie nie interesuje tego urzędu w sposób istotny i praktycznie uchwytne. Otóż można powiedzieć, że jeżeli jest czymś administrować, organizując życie kulturalne mas, to w sztuce nie nadaje się do administrowania.

Ale życiem kulturalnym mas mogą zająć się i sądzę, że najlepiej się z tego wywiążą — związki zawodowe, organizacje społeczne, bo to jest ich kulturalna domena. Świetlice, domy robotnicze i tego rodzaju instytucje, zespoły amatorskie, orkiestry najlepiej będą funkcjonowały, kiedy będą pod opieką związków zawodowych, organizacji społecznych, oświatowych, politycznych, bo tam będzie ideowa atmosfera, której nie ma w biurokratycznej strukturze każdego urzędu.

Współpraca związków zawodowych ze związkiem artystycznym da lepsze wyniki, niż biurokracja ministerialna, a jeżeli chodzi o sztukę, to literatom, plastynom, artystom współpraca taka też będzie odpowiadała.

O ile niezbędny jest centralny urząd planowania przy Ministerstwie Przemysłu, gdzie chodzi o miliardy, to urząd, który zajmowałby się planowaniem w kulturze, jest zbędną fikcją, tyle, że zjada dużo pieniędzy. Zamiast tego aparatu biurokratycznego lepszy byłby Fundusz Kultury Narodowej. Nie idzie zresztą o nazwę.

Instytucja ta mogłaby przejąć cały budżet Min. Kultury i Sztuki. Mogłaby kierować nią jeden człowiek, aparat urzędniczy mógłby być niewielki, kierownictwo mogłoby korzystać z doradczych porad ekspertów i przedstawicieli związków artystycznych, byłaby to centrala rozprawiania pieniędzy, zaś faktyczny wpływ na politykę kulturalną miałyby związki artystyczne przez swoich przedstawicieli, którzy by stanowili koło właściwych doradców i w ten sposób zarządy związków artystycznych byłyby tam właściwymi instancjami artystycznymi. Rzecz jasna, że przy takiej instytucji można by utrzymać cały szereg uprawnień ministerialnych, np. kontrolę repertuaru teatrów, oczywiście nie w tej formie, jak dziś, imitacji komisji repertuarowej, kiedy niefachowi lektorzy bledzą się nad lekturą sztuk, a która pochłania olbrzymie sumy, nie dając nic wzamian. Ci ludzie nie mają co robić, prowadzą spory.

Zorganizowanie tu odpowiedniego aparatu jest kwadraturą koła. Jeżeli chodzi o terenowe agendy Ministerstwa K. i S. uważam, że muszą być one jednoosobowe, lecz musi być to znawca teatru, sztuki malarstwa, radi, cyrku itp. Takich pereł nie ma nigdzie i nie będzie, a gdyby taki ktoś się znalazł, to po tygodniu byłby porwany na redaktora pisma do stolicy. To też te instytucje nawet na stopniu wojewódzkim są rezerwatami prawdziwych dzikoludów.

Ministerstwo Kultury i Sztuki na tym etapie musi interesować się twórcami. Dla

współdziałania z tymi ludźmi nie trzeba agend wojewódzkich czy powiatowych, starczy jeden niewielki urząd centralny.

Jeżeli chodzi o wydatki, to redukcja ich jest konieczna, bo mamy katastrofalnie mało pieniędzy, pieniądze te pochłania przede wszystkim administracja. Literaci nie pracują w swoim zawodzie, ale piszą artykuły, broszury, i jeszcze jakoś żyją. Natomiast malarze, plastycy, muzycy są na dnie nędzy. Czyż nie lepiej dać im jakieś opłacalne zaliczki, niż utrzymywać falangi urzędników, którzy rzekomo administrują dziedzinami sztuki, a właściwie nie mają czym administrować.

Oczywiście, żeby utrzymać prestiż, należałoby prezesa tej instytucji uczynić ministrem, który miałby prawo do uczestniczenia w posiedzeniach Rady Ministrów, bez jego asygnaty żadna uchwała dotycząca kultury nie mogłaby być powzięta.

J. Żuławski: To powtórzyłoby precedens prezesa CUP-u.

St. Żółkiewski: Podkreślam te konieczności natury materialnej, które również przemawiają za reorganizacją Ministerstwa Kultury i Sztuki. Ale są i inne konieczności. Dzisiejsze Ministerstwo nie współpracuje ze związkami artystycznymi, nie prowadzi postępowej polityki kulturalnej, gorzej — prowadzi politykę zupełnie fałszywą i ten stan rzeczy wymaga stworzenia aparatu, który umiałby ze związkami artystycznymi silnie współpracować. Pracę tę można by ulżyć, gdyż np. dział oświaty dla dorosłych mogłoby przejąć Ministerstwo Oświaty, oddział przemysłu ludowego powinien przejść do Ministerstwa Handlu, a należałoby pozostawić to, co jest istotne. Musi być prowadzona czynna polityka literacka, że jeżeli ma się zmienić atmosfera umysłowa, to trzeba prowadzić politykę wydawniczą, której Ministerstwo prowadzić nie potrafi. To samo jest w innych dziedzinach, choćby w polityce nagród. We wszystkich dziedzinach potrzebne są wyraźne przeobrażenia.

J. Żuławski: Wobec tego rzecz nie w tym, czy miałyby istnieć Ministerstwo, tylko w jego funkcjach. Te braki pewnych form administracyjnych, które nas interesują, widzimy również gdzie indziej. Była tu mowa o związkach zawodowych. Istnieje komisja związków artystycznych, która stała się niepotrzebna dlatego właśnie i tylko dlatego, że źle funkcjonuje, że nie spełnia zadań, które mogłaby spełniać. Jakkolwiek dość łatwo dochodzimy do porozumienia z Centralną Komisją Zw. Zaw., już z poszczególnymi oddziałami OKZZ znacznie trudniej można się porozumieć. Wobec tego istnienie takiego ciała przy rozbudowanych związkach artystycznych wydawało się celowe, ale instytucja zawiodła.

Podobnie rzecz ma się i z Ministerstwem Kultury i Sztuki. Gdyby Min. K. i S. zajmowało się rzeczywiście załatwieniem potrzeb związków artystycznych, gdyby potrafiło to robić, nie byłoby potrzebne, aby pisarze zajmowali się, zamiast pracować w swoim zawodzie i pisać tak intensywnie, jak to muszą dziś robić, łażeniem do Ministerstw i załatwianiem każdej sprawy o sobiście i bezpośrednio. Gdyby Ministerstwo było instytucją, do której wystarczałoby się zwrócić z pewnymi dezyderatami, która uzgadniałaby te rzeczy z innymi Ministerstwami, rzecz przedstawiałaby się inaczej. Niestety, Ministerstwo załatwia, często fikcyjne, wymyślone przez siebie sprawy. To samo dzieje się na terenie kraju znów w poszczególnych wydziałach kultury i sztuki. Wydziały te, miejskie czy wojewódzkie, absolutnie swoich zadań nie spełniają, czego jaskrawym przykładem jest chociażby Miejski Wydz. Kult. i Sztuki w Łodzi, instytucja pełna pretensji a zupełnie bezużyteczna. Jednakże jest kwestia do dyskusji, czy jakieś ciało centralne, które nie ma swojej sieci w całym kraju, może dobrze funkcjonować, bo w rozmaitych miejscach zabraknie instytucji, któreby mogły załatwiać lokalne dezyderaty i potrzeby świata artystycznego, gdyby funkcjonowały należąco. A cały aparat może mógłby funkcjonować lepiej, gdyby go odpowiednio przeorganizować. Tymbardziej, że o statnio stosunek i ministra i wice-ministra Kult. i Szt. do Zw. Zaw. Literatów Pol. jest pozytywny, spotykamy się z tej strony z coraz większym zrozumieniem potrzeb Związku.

A. Ważyk: Ministerstwo Kultury i Sztuki powstało jeszcze w Lublinie. Natomiast znaleźli się urzędnicy, którzy uważali, że oni będą kierowali życiem artystycznym w kraju. Już wtedy nastąpiło wyjaśnienie sytuacji między nimi a przedstawicielami związków, tzw. artystycznych, z którego wynikało, że w dziedzinach życia artystycznego, w których istnieją związki zawodowe, urzędnicy mają okazywać im po-

moc, być wykładnikami interesów ludzi sztuki wobec władz państwowych.

Niestety, w ciągu 2-3 lat działalności, Ministerstwo Kultury i Sztuki nie postępowało zgodnie z tymi wyobrażeniami. W naszej strukturze społecznej i ekonomicznej Ministerstwo ma miejsce i powinno je mieć, tylko niewątpliwie powinno być zorganizowane odpowiednio do swoich zadań. Tymczasem przybrało ono strukturę na obraz innych Ministerstw, które mają inne zadania i w ten sposób działa w próżnię. Rzecz jasna, że agendy powiatowe i wojewódzkie nie mają prawie nic do roboty. Należy każdą dziedzinę działalności Ministerstwa K. i S. rozpatrzyć oddzielnie, wtedy okaże się, że każda dziedzina wymaga innej struktury. Na odcinku teatralnym idzie o oddziaływanie na politykę repertuarową. Poza tym istnieją teatry państwowe, które zależne są od jakiejś instytucji państwowej, a więc Ministerstwa.

Jeżeli idzie o literaturę, to tu z grubsza można dojrzeć dwa kompleksy spraw. Przede wszystkim czy Ministerstwo może mieć jakikolwiek wpływ na politykę wydawniczą? Otóż zdaje mi się, że w naszej strukturze tego wpływu mieć nie może. Ekonomicznie jest to sektor, w którym działają spółdzielnie i przedsiębiorstwa prywatne. Czy może Ministerstwo planować? Nie widzę tej możliwości. Jeżeli więc mowa o polityce wydawniczej, jest to odrębna sprawa i sądzę, że w tej chwili dość trudno określić jakie instytucje i jakie formy są potrzebne, aby zrationalizować tę politykę. Druga rzecz — to stosunek do bieżących potrzeb świata literackiego i artystycznego.

Otóż tu musi być bezwzględnie sprawa postawiona jasno. Przedstawicielem świata literackiego jest Związek. Odpowiedni urzędnicy w Ministerstwie powinni zdecydować o stosunku do Związku. Ministerstwo tego nie robiło i z zasady uchylało się od zaspakajania tych potrzeb, wysuwanych przez związki zawodowe. Doszło do tego, że jakiś urzędnik z Ministerstwa Apropriaacji zabiera karty żywnościowe literatom i malarzom. A więc sprawami zaopatrzania tych ludzi i często sprawami zapomóg zajmują się inne czynniki wcale od Ministerstwa nie uzależnione, na które nie ma ono wpływu. Można by bardzo dużo mówić o stosunku Ministerstwa do Związku literatów. Wiemy, że stosunek ten był... nie zbyt chwalebny. Nie znam bliżej sytuacji innych związków podciągniętych pod kategorię związków artystycznych. Istnieje pewne nieporozumienie w tym względzie: operuje się pojęciem — związek artystyczny — pod które podciąga się u nas różne formy pracy. Nie może Ministerstwo operować ogólnym pojęciem związku artystycznego, ale musi oddzielić nie mówić ze związkami literatów, ze związkiem muzyków, ze związkiem plastyków. Oczywiście najważniejszą sprawą jest zaopatrzenie i wspomaganie tych zawodów przy pomocy funduszu. Uważam, że powinien być wyodrębniony fundusz literacki. Tylko wydaje mi się, że nomenklatura nie jest właściwa, nie należy stawiać sprawy, że dyrektor funduszu ma otrzymać prerogatywy, które by stawały go na równi z Ministrem, ale powiedziałbym, że Ministerstwo K. i S. zreorganizowane powinno wchłonąć zadania, które miał Fundusz Kultury Narodowej.

To wszystko wskazuje, że Ministerstwo powinno być w pewien odrębny sposób zorganizowane bez aparatu biurokratycznego. Działalność Min. K. i S. przez cały czas jego istnienia była tego rodzaju, że wyrażało się w tym, że Ministerstwo, starając się oprzeć na „fachowcach” z rozmaitych dziedzin, zapominało, że rzeczywistość jest rzeczywistością polityczną, i że fachowcy, którzy mogą być subiektywnie apolityczni, w swoim działaniu rzeczywistym nie są apolityczni. Działalność tych fachowców ma swój wyraźny sens polityczny i to taki, że budzi bardzo poważne zastrzeżenia.

Przy błędnym rozumieniu swej roli, przy rozbudowaniu aparatu urzędniczego Min. K. i S. kierowało się jeszcze pewnymi fałszywymi nieodpowiednimi dla naszej rzeczywistości ideami, mianowicie w imię demokratycznego działania i

demokratycznych form Ministerstwo starało się otoczyć jak Saturn pierścieniami — rozmaitymi radami.

Wł. Daszewski: Każdy departament ma swoją radę wydziałową.

A. Ważyk: W Ministerstwie upierano się przy Radzie Literackiej czy Radzie Kultury. Wiem od Przybosa, że dzięki niemu i Rafałowskiemu ze strony plastyków te próby udaremniono. Jest to sprawa ważna, bo chodzi o zastosowanie pomysłu nie odpowiedniego do rzeczywistości, a to myśli ocy, stwarza pozory, że coś się organizuje, że życie artystyczne dzięki tym organizacjom zmienia swój bieg i będzie się inaczej układało.

R. Matuszewski: Należy liczyć się z faktem, że struktura danej organizacji, szczególnie jeżeli ma za sobą pewne tradycje i pewien czas istnienia, obciąża wszelką myśl o reorganizacji. Dotyczy to struktury Ministerstwa i równoległości tej struktury do innych Ministerstw. Z tym trzeba się liczyć. Po dwóch latach niepodległości, nie wiem czy istnieje siła, która by przywróciła dobrą tradycję pewnym rzeczom, które poszły złymi torami. W Ministerstwie K. i S. od samego początku były pewne schorzenia, i mam wrażenie, że obecnie są przerosnięte do niebywałych rozmiarów. Uważam, że można połączyć naprawę tych schorzeń ze stworzeniem instytucji nowej, w której by wszystkie te nasze zastrzeżenia odpadły. Jeżeli chodzi o miejsce tej instytucji w hierarchii ogólnej i utrzymanie jej charakteru i splendoru ministerialnego to rzecz ta wydaje się oczywista. Z samej funkcji tej instytucji wynika konieczność doboru odpowiedniego człowieka, i to jest bardzo ważne i od tego w dużej mierze zależy jak później instytucja rozwinię się, natomiast jeżeli rząd pozostawi dotychczasową instytucję, to mam wrażenie że przez próby naprawy nie osiągnie się niczego, a niesłychany biurokratyzm odstraszy każdego rozsądnego człowieka.

P. Hertz: Ministerstwo może wykaazać się tylko tam, gdzie istotnie istnieje jakiś przedmiot administracji. Dlatego obserwujemy pewne osiągnięcia w dziedzinie teatru. Mówię to głośno: pocichu bowiem jestem pewien że jeden Schiller może więcej niż cały departament teatralny plus wszystkie rady. Dlaczego? Poproście dlatego, że Schiller ma koncepcję teatru i wie czego chce. Ale zgodzimy się, że w dziedzinie teatrów widać ślady działania ministerstwa.

Wydało mi się, że na innych odcinkach nie zrobiono nic. Po prostu Ministerstwo oderwało się od swojej naturalnej bazy, jaką są zawodowe związki twórcze. Na podstawie mojej rocznej pracy jako sekretarza łódzkiego Związku Zawodowego Literatów mogę stwierdzić, że kontaktu między nami i Ministerstwem nie było. Ekspozycja wojewódzka — Wydział Kultury i Sztuki nigdy nam z pomocą nie przychodził.

Stworzenie sieci wojewódzkich i powiatowych agend Ministerstwa Kultury i Sztuki było zasadniczym błędem strukturalnym.

Druga sprawa. Struktura polityczna literackiego życia w Polsce jest różnorodna. W Ministerstwie natomiast sprawami literackimi i nie tylko literackimi zajmują się ludzie, którzy tej różnorodności nie doceniają, przechodzą nad nią do porządku dziennego. Tylko tak bowiem możemy interpretować fakty: sprawa Kuthana, sprawa nagród literackich w literaturze. Dalej w plastyce mieliśmy niefortunny pomysł nagrody mas. W wyniku końcowym okazało się, że nagroda, której patronowało ministerstwo kultury i sztuki, uwieńczyła krowy malowane metodą Lasockiego. Poproście ukoronowano to, co mamy najgorszego, najbardziej pompierskiego.

Sprawa wydawnictw, która niewątpliwie spoczywa w kompetencjach Ministerstwa. Jak to się stało, że do tej pory nie przystąpiono do wydawania klasyków? Jak to się stało, że z zasiłku Ministerstwa drukuje się co miesiąc pismo „Teatr”, natomiast redakcja Polskiego Słownika Biograficznego ma poważne trudności ze swoim wydawnictwem? Nie ukazują się podstawowe prace, encyklopedie, słowniki, dzieła, których nie wyda żadne wydawnictwo, jeśli nie otrzyma na to zasiłku. Wydało mi się również, że niewiele zrobiono, by starym, zasłużonym, wybitnym pisarzom i pracownikom sztuki, którzy nie mogą już tak wydawnictw pracować jak ich młodzi koledzy, zapewnić warunki naprawdę godne ich wieloletniej pracy w służbie polskiej kultury.

Repertuar teatrów na prowincji jest straszny. Poza kilkoma teatrami w Polsce wszystkie inne coraz bardziej sterują ku szmirze. Poziom lekkich teatrzyków jest rozpaczliwy. Nie wiem czy to jest domena Ministerstwa Kultury i Sztuki, ale wiem, że wciąż jeszcze na „Lille Wenede” chodzą tysiące, a do teatrzyków setki tysięcy ludzi.

Ministerstwo jest z natury rzeczy instytu-

tucją administrującą a nie planującą. Trudno planować w kulturze. Można planować odbiór, trudniej produkcję. Administrować sprawami poszczególnych gałęzi kultury i sztuki mogą świetnie odpowiednio zawiązać zawodowe. Wydaje mi się, że instytucja Ministerstwa jest zbędna. Natomiast to co mówiono o Funduszu Kultury ma więcej racji bytu. Będzie to instytucja niewielka, nieobciążona aparatem biurokratycznym, przeznaczona do planowania tego co da się zaplanować, do uzgadniania zagadnień kulturalnych z potrzebami kraju, do praktycznego załatwienia wreszcie tych wszystkich spraw, które dotąd załatwione nie zostały.

S. Pollak. Jeżeli Ministerstwo będziemy traktowali jako centralną reprezentację, gdzie byłyby załatwiane sprawy w trybie administracyjnym, to ta instytucja jest potrzebna i, mam wrażenie że Fundusz Kultury nie spełniłby swej roli choćby ze względu na swoją nazwę. Oczywiście komórki terenowe są niepotrzebne i w obecnych warunkach nie spełniają roli łącznika. Ale instytucja taka jak Ministerstwo, które by zjednoczyło w sobie wszystkie administracyjne czynności i rozdział Funduszu Kultury Narodowej, a z drugiej strony było pewnego rodzaju wyrazicielem ogólnej polityki związków zawodowych, tego rodzaju instytucja, zdaje mi się, w obecnej strukturze ma swoją rację bytu.

Jan Kott. Istnieją błędy, które może nie wynikły ze względów personalnych, ale ze względów istotnych, z nieporozumienia, które związało ze sobą rzeczy bardzo różne, sprawy szkolnictwa i sprawy muzeum. Połączenie ich w Ministerstwie nie jest przypadkowe. Opiera się ono na pewnym przeświadczeniu o istnieniu wspólnej kultury, która jest własnością pewnych warstw, która polega na układzie niezmiennym. Jest to stara koncepcja kultury. Ta koncepcja legła u podstaw Min. Kultury i Sztuki. Dlatego, zdaniem moim, jakiegokolwiek rozbieżności teoretycznej i praktycznej nie tu nie zmienić, nic nie pomoże najbardziej idealny człowiek, jeżeli nie przetrzeć się szkół, popierania twórczości naukowej, całego szkolnictwa o charakterze naukowym do Ministerstwa Oświaty. Gdzie będą muzea, to rzecz drugorzędna. Są dwie rzeczy istotne, które nas powinny zainteresować: świadoma polityka kulturalna i kto ma robić tę politykę od dołu. Jest to zagadnienie światła, domów robotniczych. Jeżeli porównamy działalność wszystkich ministerstw to widzimy, że wszędzie jest określony kierunek postępowy, przełamujący reakcyjne opory, a tylko na terenie polityki kulturalnej mamy zjawisko odwrotne: jest ruch postępowy, wobec którego Ministerstwo K. i S. występuje jako czynnik opóźniający. A stało się tak dlatego, że oddzielono ruch światłocowy od związków. Całe zagadnienie masowej kultury, kształcenia mas, tworzenia i zakładania świetlic, trzeba powierzyć instytucjom, które zajmą się tym, mając oparcie w jakimś departamencie, prawdopodobnie w Ministerstwie Oświaty. Jaki jest sens istotny wiązania tych rzeczy? Ten, że świetlica pojęta oddzielnie, gdzie robotnicy czegoś uczą się, nie ma sensu, — musi być związana z ruchem TUR-owym i innym, aby nie miała charakteru szkoły.

Pozostaje sprawa popierania twórczości naukowej, intelektualnej. Wydawało nam się początkowo, że wytrącenie dźwigni, którymi rządził wielki kapitał (papiernictwo, drukarnie) wszystko zmieni. Tym czasem nie wystarczy zneutralizować drukarnie, papier, bo w tych drukarniach będzie się drukowało Fiedlera. Potrzebna jest mała, skromna instytucja: 2-3 rozumnych ludzi — Instytut popierania kultury, który by miał odpowiednio fundusze, instytucja, która by miała odpowiednio wysoki budżet, bardzo skromnie nazywająca się, i mająca do spełnienia jedynie określoną rolę, wąską i ograniczoną.

W. Daszewski. Każda instytucja musi być wyrazem konkretnych potrzeb i od nich należałoby zacząć. Potrzeby są rozmaite dla rozmaitych dziedzin twórczości.

Otóż są dziedziny, które wymagają administrowania. Naprz. Dyrekcja muzeów państwowych. To jest instytucja administrowana, z budżetem jak każdy zarząd każdego gospodarstwa, musi mieć fundusze bezpośrednio z Rady Ministrów. Teatry państwowe — niewątpliwie musi być centralna dyrekcja teatrów państwowych. Potrzebna jest jednolita dyrekcja teatrów, muzeów. I może jest jeszcze kilka instytucji artystyczno-kulturalnych, które tego potrzebują.

Natomiast istnieje mecenat w odniesieniu do literatów, malarzy itp. chałupników, którzy potrzebują tego mecenatu, ponieważ konsumpcja nie jest tak rozwinięta, żeby twórczość mogła całkowicie wchłonąć. Mówiąc więc o Min. Kultury i Sztuki, mówimy o kilku instytucjach, które w nim się mieszczą. Biorąc pod uwagę rejestr potrzeb w dziedzinie twórczości, należy stworzyć szereg instytucji, które by potrzeby te

załatwiali i dużym zadaniem byłoby w tym względzie zorganizowanie „konsumentów”. Ministerstwo Przemysłu zajmuje się już tą sprawą, jeżeli chodzi o handel zagraniczny, a Min. Kultury i Sztuki nie robi w tej dziedzinie. Dobrze było zdać sobie sprawę, jak te rzeczy choćby Czechosłowacji wyglądają, w krajach, co do których analogia jest wskazana i pożyteczna.

A. Ważyk. Organizacja poszczególnych dziedzin wymaga poprostu odrębnych ośrodków: muzea, mecenat, teatr. Te ośrodki powinny się jednak skupiać w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Gdyby były rozparcelowane, podpadłyby pod zbędną hierarchię administracyjną.

K. Brandys. Zdaje się, że gdyby Min. Przemysłu miało do produkcji przemysłowej taki stosunek jak Min. K. i S. do produkcji kulturalnej, to Polska przestałaby w krótkim czasie istnieć ekonomicznie — nie mówię tego w złośliwych intencjach. Po prostu — twórczość artystyczna jest zjawiskiem, powiedzmy, dosyć delikatnym i trudno ją zarządzać w ramach normalnego administracyjnego resortu, jakim jest ministerstwo. W ciągu ubiegłego czasu wytworzyła się dziwna sytuacja: mamy dziś w Polsce jakby dwa życia kulturalne o odmiennych hierarchiach wartości, różnych kierunkach, odrębnej świadomości. Jedno — to realne, historyczne, poparte tym, co się na prawdę tworzy; drugie, to egzotyczne, zamknięte w skostniałym kręgu między biurami Ministerstwa, która warszawskiego oddziału ZZLP, a księgarń Kuthana, na Pl. Trzech Krzyży, oderwane od prawdziwej produkcji kulturalnej narodu. Ten stan rzeczy musiał nastąpić i nie jest przypadkiem. Wydaje mi się nie wątpliwe, że człowiek istotnie i szczerze związany z twórczością nie zaciągnie się do biurokratycznej roboty w referacie czy departamencie. Z natury rzeczy nastąpił tam przypływ ludzi, którzy w sztuce powiedzieli co mieli już do powiedzenia, albo takich, co nie mieli do powiedzenia nic i nigdy. Pówtarzam: nie był to przypadek, ale konieczność. Co gorsza — ci ludzie nie są nawet dobrymi biurokratami, bo często są „artystyczności” usposobienia pozostali im tylko brak życiowej równowagi, tak potrzebnej dobremu urzędnikowi. Przypomnijmy sobie frywolne piosenki, śpiewane przez urzędników tego resortu na przyjęciu z okazji nagrody księgarza Kuthana.

Dlatego uważam, że pozostawienie Ministerstwa w normalnym, rządowym aparacie administracyjnym, jako instytucji, kierującej życiem kulturalnym — dałoby złe wyniki. Potrzebna jest instytucja wolna

od ministerialnej struktury, centralna instytucja, obojętnie pod jaką nazwą, ale kierowana przez jednego lub kilku ludzi obdarzonych talentem kształtowania życia kulturalnego. Ale w tym miejscu małe zastrzeżenie. Polityka kulturalna miałaby odbywać się, jak słyszałem, ponad związkami artystycznymi, powyżej ich głów — tylko w planach kilku mózgów kierowniczych? Niezależność od wieżów ogólnej administracji — zgoda, ale pierwszym warunkiem realnej działalności instytucji, o jakiej mowa, musi być ścisły, trwały kontakt ze społecznym życiem świata kultury i sztuki, a więc z samorządem zawodowym organizacji artystycznych. Należy, prócz postaci kierowniczych i dysponujących, wprowadzić do niej na stałe przedstawicieli związków artystycznych, (a nawet Dyrekcji Muzeów, Ochrony Zabytków, Pracowni Konserwatorskiej, Instytutu Historii Sztuki). Te reprezentacje miałyby prawo i obowiązek przedstawiania kierownictwu instytucji potrzeb i dezyderatów swych organizacji. Nie trzeba dodawać, że ta koncepcja organizacyjna nie wymagałaby skomplikowanej techniki ani aparatu.

St. Żółkiewski. Zdaje mi się, że Min. K. i S., tak jak ono jest pomyślane w tej chwili, obejmuje następujące dziedziny działania: 1) mecenat, 2) planowanie kulturalne, 3) dyrekcja i kontrola różnych dziedzin, które dają się administrować jak muzea i teatr, 4) subsydiowanie różnych imprez wydawniczych, publikujących rzeczy, które nie są opłacalne. Następne działy: 1) przemysł artystyczny, 2) sprawy związane z upowszechnieniem kultury (świetlice), tworzenie instytucji kultury powszechnej, jednym słowem — centralna komórka tych spraw, 3) szkolnictwo artystyczne. Otóż trzy punkty można wyłączyć. Szkolnictwo artystyczne, przemysł artystyczny i sprawy oświaty dorosłych, czy inaczej sprawy upowszechniania kultury, które mieszczą się w Min. Ośw. powinny być prowadzone przez organizację zawodową i młodzieżową. Natomiast pierwsze cztery dziedziny powinny mieścić się w Min. Kultury i Sztuki. Obawa, że utrzymanie tych dziedzin będzie niebezpieczeństwem utrzymania całego Ministerstwa nie jest uzasadniona, bo to są agendy pod względem liczebnym personelu nie tak wielkie i jednocześnie odpowiadają potrzebom życia kulturalnego. Zdaje mi się, że istotnie potrzebną rzeczą jest zlikwidować prowincjonalną sieć Min. K. i S., likwidując przez to strukturę urzędów, w którym na pracy biurokratycznej, papierkowej jest skupiona największa część uwagi. Dlaczego nasz kolega Kruczkowski nie mógł nie zrobić? Bo zasypany został papierkami. Ma-

my przykład na kierownika Oddziału Min. w Łodzi, z którym ani razu nie zetknęliśmy się, a ma na pewno osiem godzin solidnej roboty, należy też przypuszczać, że jego zwierzchnik w Min. Kultury ma to samo zajęcie. Rzecz najważniejsza — pozbyć się tych papierów.

W związku z pierwszym punktem — mecenatem, powiedziałbym, że jest on w naszej rozmowie może trochę wstydliwie ujęty, a mecenat nie jest taką białą rzeczą. Wiemy, że kultura opiera się przede wszystkim na twórcach, którymi trzeba opiekować się, w przeciwnym razie byłoby to samo, jakby Min. Przemysłu nie interesowało się swymi obrabiarkami. Ci ludzie wymagają opieki. I opieka ta wraca się ku społeczeństwu z nadatkami, gdy da im się właściwe warunki spokojnej pracy.

Druga sprawa — sprawa planowania. Nie widzę, żeby ta rzecz miała być wydzielona i dlatego miała rozpychać urząd, o którym mówimy. Do sekcji mecenatu wystarczy kierownik, dwóch urzędników i ze spół przedstawicieli Zw. Zaw. Do planowania ciągle ten sam Minister względnie kierownik i dwóch wzgl. trzech ludzi, którzy by zajmowali się wydawnictwami, publikowaniem niektórych utworów muzycznych itd.

Zagadnienie subsydiowania różnych imprez. Do tego nie trzeba osobnych urzędników.

4) — punkt — dyrekcja i kontrola. Są dwie dyrekcje administracyjne. Oczywiście urzędnicze, oczywiście biurokratyczne: dyrekcja muzeów i teatrów. I to jest ciało złożone w sumie z dwudziestu ludzi. Z mojego wyliczenia wynika, że potrzebny jest minister plus 20—30 ludzi i drugie tyle maszynistów. Jest to więc kwestia czterdziestoosobowego personelu, z tym, że z tych 40 osób — 25—30 będą to dyrekcje.

Jest to schemat, który może ulec drobnym zmianom. Czy dobrze funkcjonująca sieć powiatowych i wojewódzkich urzędów przydałaby się? Myślę, że nie. Musi zajść całkowita zmiana Min. Kultury, bo inaczej nikt rozsądny nie podejmie się tej funkcji. Kruczkowski podjął się, bo nie wiedział, co go czeka. Następnie, zdaniem moim, ta przebudowa spowoduje odpadnięcie lawiny papierków i robót bezsensownych.

W ramach tych czterech punktów: mecenat, planowanie, subsydiowanie, kontrola, powstanie konieczność polityki kulturalnej. A jest to elementarna konieczność, bo jeżeli tej polityki nie będzie, to będzie bardzo ciężko dla postępu kulturalnego, gdyż nasza bierność działa przeciwko nam, przeciwko lewicy, na korzyść reakcji.

JAN SZCZEPAŃSKI

W SPRAWIE ALKOHOLIZMU

(Głos w dyskusji)

Artykuł A. Świrszczyńskiej w nrze 50-tym „Odrodzenia” wskazuje nietylko „poważną kłeskę społeczną”, lecz jedną ze spraw najważniejszych naszego nowego państwa. Alkoholizm występujący w tej postaci jak obecnie u nas, nie jest sprawą prywatną ludzi upijających się z różnych osobistych powodów. Jest to zjawisko strukturalne, uwarunkowane nietylko indywidualnymi skłonnościami poszczególnych jednostek, lecz procesami społecznymi, przypominającymi różne psychozy zbiorowe. Jeżeli przyczyn alkoholizmu trzeba szukać w strukturze życia wojennego i powojennego, to jego skutki splatają się z całym szeregiem spraw państwowych, gospodarczych i wychowawczych. Nie trzeba specjalnie podkreślać, że skutki te są groźne.

Nie należy upraszczać sprawy obarczając odpowiedzialnością za pijaństwo monopol spirytusowy. Nie produkcja jest ważna, ale spożycie i nie należy sobie wyobrażać, że zmniejszenie podaży spirytusu skasuje automatycznie kłeskę pijaństwa. Przyczyny leżą głębiej. Lecz z drugiej strony wyciąganie dochodu państwa z produkcji spirytusu, jest koniecznością finansową, której nie należy przeciągać, gdyż na dłuższą metę jest to polityka samobójcza.

Zacznijmy od spraw gospodarczych. Dochody monopolu spirytusowego stanowią poważną pozycję w budżecie państwa. Jednakże rozpatrywane na długiej fali są to dochody pozorne. Może być, że się mylę. Nie rozporządzam dostatecznym materiałem orientacyjnym. Lecz zestawmy przynajmniej w myśli koszty strat spowodowanych pijaństwem. Strat na razie materialnych. Policzymy pożary fabryk i domów, katastrofy kolejowe i samochodowe, szkody w maszynach i urządzeniach, szkody w zdemolowanych mieszkaniach i lokalach, wydatki w szpitalach na leczenie osób poranionych w bójkach i leczenie chorób spowodowanych pośrednio lub bezpośrednio pijaństwem; policzymy dalekie straty w obniżonej wydajności pracy, straty w si-

le roboczej i czasie spędzonym na pijaństwie. W każdym razie straty te sięgają sum jeśli nie równych dochodowi to bardzo poważnych.

Pijaństwo ma jeszcze inne społecznie ważne strony. Podcina zdrowotność ludności nie tylko bezpośrednio lecz i pośrednio. Pieniądże przepijane przez ojców nie zostają obrócone na żywność i ubranie dla dzieci, a stałe niedożywianie i przeziębienie wzmaga stopień zagrożenia gruźlicą. Poza tym pijaństwo jest najlepszym środkiem utrzymania warstw ekonomicznie słabych w permanentnej nędzy. Jeżeli obywatel żyjący ze swojego zarobku, systematycznie przepija swoją nadwyżkę budżetową, jaka pozostaje po zaspokojeniu minimum potrzeb życiowych własnych i swojej rodziny, nie mówiąc, że przepija znaczną część swoich dochodów, to rzecz jasna nigdy nie zdobędzie się na podniesienie stopy życiowej przez oszczędności. I wszelkie próby podniesienia jego dobrobytu drogą podwyżki płac stają się iluzoryczne, jeśli podwyższony zarobek zostaje obrócony na podniesienie wypijanej porcji alkoholu.

Wspomnę jeszcze szkody wychowawcze. W tym czasie niedawno dyskusji szkolnej nikt nie zwrócił uwagi na to, że wpływ wychowawczy szkoły pozostanie równy zeru, jeśli pijaństwo nie zostanie przynajmniej ograniczone. Dziecko wychowane w rodzinie pijącej wódkę w wielkich ilościach i samo pijące wódkę, z największym trudem, lub najczęściej nigdy nie wyrośnie na moralnie normalnego człowieka. Alkoholizm i demoralizacja idą zawsze w parze. Ile przestępstw popełnia się pośrednio lub bezpośrednio pod wpływem alkoholu? Brak w tej chwili odpowiednich statystyk. Ile nadużyć władzy popełniono po pijanemu, które to nadużycia obciążały konto „demokracji” w oczach wszystkich niechętnych?

Słusznie porównuje Świrszczyńska pijaństwo powojenne z pijaństwem okresu saskiego. Twierdząc, że Polska ludowa jest równie zagrożona w swych podstawach

przez pijaństwo jak Polska szlachecka, gdyż: pijaństwo osłabia i niszczy naszą gospodarkę (zdolności produkcyjne), utrzymuje poziom nędzy, niszczy biologicznie, paraliżuje oddziaływanie wychowawcze i moralne odrodzenie narodu. W tej perspektywie, w ogólnym bilansie życia narodu, dochody przynoszone przez monopol spirytusowy są na pewno pozorne.

Jakie zatem stosować środki zaradcze? Trzeba odnaleźć przyczyny tej fali pijaństwa i likwidować je systematycznie. Nie pomogą ani żadne zakazy, ani ograniczenie spożycia, jeśli nie zostanie zlikwidowany pęd do pijaństwa i jeżeli ludzie nie przestaną chcieć pić. I tak jak ten pęd do wódki wywołały warunki wojny, tak należy dążyć do stworzenia warunków stabilizacji życiowej, ukazujących ludziom nowe cele i wywołujących inne dążenia.

Pijaństwo rozpoczęło się podczas wojny. Psychicznie było ono w znacznej mierze ucieczką od okupacyjnej rzeczywistości. Okupacja zachwiała i zdeorganizowała warunki życia olbrzymiej większości ludności. Wytworzyła nastroj tymczasowości, nastroj katastroficzny, zerwała więzy łączące z rodziną czy innymi zorganizowanymi grupami społecznymi. To były warunki społeczne szczególnie sprzyjające pijaństwu. Drugim warunkiem były łatwe zarobki spekulantów, paskarzy itp. Łatwy zarobek połączony z poczuciem niepewności i niemożnością rozsądnego wykorzystania zarobionych pieniędzy, również skłaniał do pijaństwa. Trzecim warunkiem była swoista „ideologia pijacka”, widząca w pijaństwie sprawdzian „męskości”. Wreszcie, alkohol zawsze w Polsce był jedną rozrywką dla wielu milionów ludzi. Wojna ograniczała dostęp do rozrywek kulturalnych. Nie było kina, teatru, przedstawień amatorskich, gazet i książek. Inteligencja, nawet ta, która chciała i mogła przodować kulturalnie, została od tego przrodowntwa odsunięta, a na czoło wysunęły się typy paskarzy, ludzi silnych łokci, którzy zawsze odznaczali się pociągami do kielisz-

ka. Wódka stała się rozrywką powszechną.

Takie były przyczyny nadmiernego pijaństwa za czasów okupacji. Po wojnie, warunki nie uległy zasadniczym przekształceniom. Inteligencja piła nadal, szukając ucieczki od „ciężkich czasów”. Szaber dał okazję do lepszych i łatwiejszych zarobków niż szmugiel wojenny. Życie było zupełnie zdeorganizowane. Rodziny poroziły, organizacja i sytuacja państwowa płynna, warunki bezpieczeństwa małe. W miarę konsolidacji warunków życiowych i fala alkoholizmu opadła. Lecz należy uczynić wszystko, by proces ten przyspieszyć.

Jednakże sprawa jest trudna. Ludzie zawsze szukali narkotyków. Alkohol jest szczególnie przyjemnym narkotykiem. Daje wzmoczone poczucie mocy, daje przyjemne oszołomienie, w którym zatracą się właściwa perspektywa rzeczywistości. Poza tym podniecanie alkoholem stało się społecznie utrwalonym obrzędem. „Picie wódki” jest swoistą ceremonią uświetniającą wyplaty, uroczyny, chrzciny, pogrzeby, zjazdy wszelkiego rodzaju. I z pić wódki związana jest swoista mitologia społeczna. Najlepszym jej przejawem i skarbnicą są książki Wiecha. Nikt tyle w Polsce nie uczynił dla szerzenia kultu pijaństwa co Wiech. Poza tym ciekawą rzeczą byłoby dokonanie przeglądu przysłów pijańskich, zebranie i analiza dowcipów pijańskich. Słusznie domaga się Świrszczyńska walki z ideologią pijaństwa. Trzeba skończyć z apoteozowaniem bohaterów i wielkich mężów, którzy ryją dopiero po wypiciu litra czy nawet więcej. Jednakże walka z alkoholizmem musi być walką prowadzoną środkami polityki społecznej. Tu nie pomoże represja, ten najprymitywniejszy system oddziaływania społecznego.

Trzeba wszelkimi środkami wiązać ludzi z już istniejącymi normalnymi warunkami życia zbiorowego, żeby nie szukali ucieczki w pijaństwie. Trzeba uregulować system zarobków i skasować źródła zarobków łatwych i nadmiernych. Trzeba pokazać ludziom, że warto oszczędzać i wkładać pieniądze w przedmioty codziennego użytku. Trzeba dać masom rozrywkę godziwą i kulturalną. A przede wszystkim żaden polityk, żaden działacz robotniczy czy chłopski nie powinien przechodzić obojętnie wobec pijaństwa. Pijaństwo hamuje odbudowę, wzmacnia nastroje katastroficzne, wywołuje obojętność wobec spraw publicznych, obniża konsumpcję dóbr kulturalnych: książek, czasopism itp.

W walce z alkoholizmem trzeba zwrócić szczególną uwagę na walkę z mitologią pijańską. Zlecił redaktor „Odrodzenia” drukując satyrę Świrszczyńskiej na artykuł Świrszczyńskiej. Prawda jest, że pili Poe, Baudelaire, Kochanowski, Rey i Swinarski. Nikt im tego za złe nie bierze, jeżeli podniecanie alkoholem pomagało im w tworzeniu. Lecz jeżeli ktoś, wzorując się na Swinarskim, ujęcie się nie dlatego, żeby pisać wiersze, lecz by tyranizować rodzinę i przepijać jej pieniądze lub pijany zapomina o przestawieniu sygnału kolejowego — to jest inna sprawa. Na pewnej zabawie przedświątecznej pijani gimnazjaliści argumentowali tak jak satyryk Swinarski — nie czytając jego satyry — teraz „utwierdzię się we wierze”.

Walka z pijaństwem nie jest walką o prohibicję. Prohibicja jest nonsensem. Żaden zakaz nie odciągnie ludzi od alkoholu. Walka dotyczy tylko pijaństwa jako psychozy zbiorowej, niszczącej naród gospodarczo i moralnie. W tej walce należy stosować wszelkie rozumne środki. Dobrze się stało, że Świrszczyńska napisała swój artykuł. Nad proponowanymi przez nią środkami zaradczymi powinna się rozwinąć szeroka dyskusja. Niech ta dyskusja przekształci się w propagandę przeciw pijaństwu. Jeśli mamy sięgać do zakazów, to proponuję jeden, który należy wprowadzić możliwie szybko: zakaz sprzedaży wódki w dniu wyplat.

Jan Szepeński



Seweryn Pollak

Autor zbioru wierszy p. t. „Godzina życia”, którego recenzja ukazała się w poprzednim numerze.

JAN KOTT

NIEOCZEKIWANY SOJUSZNIK



Stefan Kisielewski

I.

SAM pomyśl traci wyraźnie przybyszewszczyzna i Lutosławski: szkolne spryszenie 3 młodych chłopców, którzy zaprzysięgali sobie nie zbliżać się do kobiety, aby wzmocnić swoje duchowe siły i wyrwać się z nieubłaganej mechanizmu praw natury. Gorzej, że z dwóch spryszonych wyrastają pederasty, a trzeci zostaje impotentem — to już fatalna tradycja dwudziestolecia. Mniejsza z tym, prawdziwe szaleństwo zaczyna się dopiero w drugiej połowie powieści. Po dwustu kilkudziesięciu stronach drobniawej analizy kompleksu impotencji i szczegółowych „ulicznych” prób zosnania mężczyzny, Kisielewski wrzuca swojego bohatera w sam środek wojennego września 39 roku. Każe mu jako podchorążemu rezerwy przebyć całą kampanię, ciągnie go pieszko z Warszawy do Kowla i z powrotem, miesza swojego wytwornego intelektualistę fizycznie i moralnie z błotem, aby wreszcie na jakiejś próbie szczytowej pod Puławami, po ostatecznej klęsce i załamaniu się wszystkiego, wsunąć mu pod kołdrę młodą dziewczynę i pozwolić wreszcie doznać owego „namietnego pędu, coraz szybciej i szybciej do najwyższego momentu”.

Trzeba przyznać, że jak na częstą i łatwą ucieczką dolegliwość młodych intelektualistów, terapia w postaci drugiej wojny światowej jest nieco ryzykowna. Zwłaszcza, że powieść kończy się hymnem na cześć radości życia na ruinach Warszawy. Bohater został mężczyzną: nie ma granic, wesela. Ciemny jakiś symbolizm, czy zwykła przekora? Impotent — to cała Polska przedwrześniowa, czy też po prostu — „koniec i bomba, kto przeczytał ten trąba”. Nie spieszymy się z sądem, konstrukcja powieści, a nie wyrwane zdania, powinny nam pokazać jej sens. Trudno brać przecież poważnie całą kolekcję witalistycznych komunalów, jakimi autor nas obficie darzy na ostatnich kartach swej książki. A to, że „waż zmienia skórę”, że „życie wstaje jak Feniks z popiołów, nowe, bogate, bujne, fascynujące”, że „obawa przed śmiercią jest właściwie nonsensem”, że „prawa natury... i tak dalej, cała wiązanka w tym stylu”.

Powróćmy do początków powieści. A więc raz jeszcze sprawa impotencji. Na pierwszych stu stronach „Spryszenia” — tylko o tym mowa. Drobniawo. Szczegółowo. Bardzo nudno. A jednak powiedzmy od razu na pochwałę Kisielewskiego, że szczególnie ani nie stoczył się w bagno psychoanalizy, ani też nie pofurtał w jakąś metnometafizykę. Schopenhauer, Freud i Weininger, których echo gdzieś niedźsie dobiegają, traktowani są mocno ironicznie. Żadne objawienie! Po prostu autorzy, którzy mogą młodego chłopca wpędzić w ciężką neurastenię erotyczną, Kisielewski trzyma się mocno realizm, spojrzenie na świat wyłącznie oczami bohatera jest nudnawe, ale nie narusza rzeczywistych proporcji. Bohater nie tylko rozmyśla i przeżywa; dzieje się dosyć dużo, nawet w tej pierwszej części „Spryszenia”. Wszystko to przypomina nieco popularne studium lekarskie, rozsądne, a-moralne, urozmaicone dość cynicznym komentarzem intelektualnym. Można nawet z niego wyciągnąć sporo praktycznych i doradczych wskazówek w dziedzinie życia erotycznego.

Nazwałem kiedyś ten gatunek *drobnonaturalistycznym*. Nigdy się nim nie entuzjaznowałem, ale nie mogę mu odmówić pewnej rzetelności wobec faktów. Przyznaję, że widać, że życie, ile może dać mały, naturalistyczny empiryzm. To nie jest jeszcze najgorsze. Wolę to w każdym razie od abstrakcyjnego dramatu postaw moralnych albo pustej i wzniosłej retoryki kazań do narodu. Proza Kisielewskiego jest rejestracyjna, analityczna, w miarę intelektualna. Bardzo w miarę! Mały, naturalistyczny empiryzm nie pozwala na świadomą konstrukcję losu lu-

dzkiego, na dokonanie wyboru faktów. Wszystko jest właściwie równie ważne: kolor tapety i sukienki, myśli bohatera, przebieg zdarzenia. Przyczynowość ocalona w granicach zdrowego rozsądku drobniawszczyzny. Jak na polską powieść — to jeszcze wcale nie jest złe!

Ale chciałbym więcej. Nie chcę już po raz chyba dziesiąty pokazywać różnicy pomiędzy małym i wielkim realizmem, pomiędzy konstrukcją i analizą a rejestracją szczegółów, pomiędzy wyborem typowej sytuacji społecznej a plotką obyczajową. A temat aż się prosi o porównania. Są w „Spryszeniu” ślady lektury Stendhala. I to nie tylko w tematyce: impotencja, ale nawet w samym języku Kisielewskiego. Niestety! Jak to jest tutaj wszystko rozmazane. Zaczynaj, sam zobaczycie! Nie mam już innych środków przekonywania.

A więc z „Pamiętnika Egotysty”. Kartka z wizyty w domu publicznym:

„Miejsmy mieć Aleksandrynę — w pół roku potem — utrzymam najbogatszych Anglików — wówczas debiutantkę od dwóch miesięcy. Zastaliśmy, około ósmej wieczór, przemyły salonik, szampańskie w lodzie, gorący poncz. Wreszcie zjawila się Aleksandryna w towarzystwie pokojówki, która miała powierzone czuwać nad nią; powierzone przez kogo? zapominałem. Ale musiała to być wielka powaga, bo widziałem w rachunku zabawy, że jej dano dwadzieścia franków. Aleksandryna zjawila się i przeszła wszystkie oczekiwania. Była to duża dziewczyna, siedemnasto lub osiemnastoletnia, już dojrzała, miała czarne oczy, które później odnalazłem na portrecie księżnej Urbino przez Tycjana, w galerii florenckiej. Z wyjątkiem włosów Tycjan zrobił jej portret. Była słodka, zdrowa, nieśmiała, dość wesola, skromna. Oczy moich kompanów stały się jak błędne od tego widoku. Lussinge ofiarowuje jej kieliszek szampa, którego nie przyjęła i znikła wraz z nią... Po straszliwie długiej pauzie wraca blady.”

— Na ciebie kolej, Beyle. Cześć następnemu! Wykrzyknął. Zastaliśmy Aleksandrynę na łóżku, trochę zmęczoną, prawie w kostiumie, a dosłownie w pozie księżnej Urbino Tycjana.

— Porozmawiamy choć dziesięć minut — rzekła filuternie. Jestem trochę zmęczona, pogawędzmy. Niebawem odnajdę ogień młodości.

Była uroczą, nie widziałem może nic równie ładnego. Nie było w niej żubynnego wyuzdania, wyjąwszy oczy, które stopniowo zamigotały szaleń, lub, jeśli kto woli, namietnością.

Spatywałem kompletnie, zupełne flakso. Uciekłem się do środków zastępczych. Podałem jej. Nie bardzo wiedząc co robić, chciałem wrócić do tych ręcznych igraszek, odmówiła. Wydała się zdziwiona; powie, że ja mam parę rzeczy dość zręcznych jak na moją pozycję i wyszedłem.

Moi kompani chcieli wmówić we mnie, że ja umieram ze wstydu i że to jest najniebezpieczniejsza chwila mego życia. Byłem tylko zdziwiony, nie więcej. Nie wiem czemu, myśl o Metyldzie ogarnęła mnie w chwili, gdy wchodził do tego pokoju, którego Aleksandryna stanowiła tak ładną ozdobę.

Spotkałem z dziesięć razy Aleksandrynę we wspianym powozie, który miała w miasteczku później i zawsze dostało mi się przyjazne spojrzenie. Wreszcie po kilku latach, uroda jej zgrubiła, jak bywa u takich dziewcząt. Od tego czasu uchodziłem za bajbardo z trzech towarzyszy życia, których mi dał los. Ta piękna reputacja rozszła się w świecie, i mniej lub więcej trwała aż do czasu gdy pani Azur zdała sprawę z moich rycerskich czynów.

Tyle Stendhal. Jedna stroniczka i koniec całej sprawy. Już pomijam, że napisane było to stokilkanaście lat temu i, o ile wiem, po raz pierwszy w literaturze. Ale mamy tu wszystko, tyle z fizjologii ile trzeba potem ledwo zdanie wyjaśnić, a psychologicznie przyczynę flakso. A obok całej sytuacji towarzyskiej, społecznej, obyczajowej. Aż gęsto od realizm, ale ważnych, typowych, wybranych.

A teraz, Kisielewski. Też dom publiczny.

„Weszły dwie kobiety we wspianych wieczorowych sukniach. Obie były bardzo ładne, zwłaszcza jedna, wyniosła blondynka o pięknych bujnych włosach. Lewandowski przywitał się z nimi kordalnie podając obu rękę, po czym przedstawił im Zygmunta, który również podał im rękę. W czworo usiedli na fotelach i rozpoczęła się ogólna rozmowa, kierowana oczywiście przez Lewandowskiego. Zygmunta milczał, czekając z wewnętrznym skrzętem, co będzie dalej. Nie czekał długo, po kilku raczej przeciętnych dowcipach, pokwitowanych zresztą ciepłym uznaniem obu kobiet, Lewandowski zwrócił się doń z dość beceremialnym pytaniem, „Jak ci się podoba Karolina?” — spytał wskazując na ową piękną blondynkę. Zygmunta nadspodziewanie swobodnie odrzekł, że istotnie — podoba mu się bardzo. — To wspaniale — rzekł Lewandowski — ty również bardzo się jej podobasz, idźcie więc sobie, my mamy tu do pogadania z Zuzą. Blondynka nie zgaszona bynajmniej tak zwiezłym i przeziśłym postawieniem sprawy, wstała z miejsca i z uroczym uśmiechem spojrzała mu głęboko w oczy — przełotnie przypomniał sobie czytany nie wie gdzie gdzie aforyzm, że najpiękniejszą kobietą

może się zdobyć na spojrzenie o nieprzezwyciężonej głębi... (Czytelnik będzie taskaw odnaleźć w „Spryszeniu” str. 223 i spróbować doczytać do końca. Ja skracam przez litość)... „Wykapiemy się” — spytała Karolina i znów spojrzała na Zygmunta niewiarogodnie głębokim i mądrym spojrzeniem pięknych oczu. Nie czekając na odpowiedź zaczęła zdejmować swą wykwintną jedwabną suknię, najpierw uniosła ją powoli, jakby wahając, obnażając wspaniałe nogi, potem zrzuciła ją szybko i zrezygnując, stojąc zupełnie nago... (Skracam ze względu na wstydlivość czytelników „Kuznicy”, którzy chociaż nie są tak wstydlivi, jak czytelnicy „Tygodnika Powszechnego”, vide recenzja p. Gołubiewa, są jednak zbyt wstydlivi na takie opisy)... Po prostu i tym razem Zygmunta nie okazał się mężczyzną, pomimo usilnych i kunsztownych starań Karoliny”.

I tak prawie bez zmian przez bez mała sto stron. Oto różnica między wielkim i małym realizmem. Jakże pusto jest wokół bohatera przez całą pierwszą część powieści. Dopiero potem zaczyna się ona zwolna zaludniać. Zaczyna się historia drugiego „Spryszenia”. Tym razem to już zupełna bzdura. Wiosna i lato 39 roku. Nowe spryszenie ma na celu, ni mniej ni więcej, tylko zamach na Hitlera. Przedtem mieliśmy pokaz pokonania praw natury w imię wolności ducha. Teraz mamy mitologię czynu, który ma złamać prawa historii, wpłynąć na bieg dziejów ludzkości, zniszczyć przemoc fatalizmu społecznego.

Zamach na Hitlera organizuje pierwszy z trójki przyjaciół, główny kreator, mitoman i pederasta. Do spisku wciąga redaktora faszyzującego piśmię, socjalistycznego działacza i paru swoich przyjaciół.

Kisielewski, przynajmniej to lojalnie, sam zdaje sobie jasno sprawę z bzdurności tego pomysłu. Całe drugie spryszenie rozkręca się niewiedzą gdzie na marginesach właściwej narracji. Nonsens jest zbyt oczywisty. Nawet w granicach małego empiryzmu. Historii tej w żaden sposób nie da się opowiedzieć, można ją tylko jakoś zasugerować. I to przez pół serio.

Do czego więc ona służy? Po co była potrzebna autorowi? I tutaj dochodzimy do sedna powieści. Kisielewskiemu szło o coś bardziej istotnego niż o studium psychologicznego kompleksu impotencji (choć pozarto to jedną trzecią powieści) i o coś bardziej poważnego niż o próbę (nieudaną zresztą), rywalizacji z Dolegą-Mostowiczem. Kisielewski dał do zasadniczej rozprawy z polską rzeczywistością przedwojenną, do wyjaśnienia tragicznego września.

Ale jak to zrobić? W granicach drobnonaturalistycznej relesracji przeżyć impotencja, nie ma takiego cudu, który by pozwolił na podjęcie innych, niż psychologicznych, problemów. Pozostaje komentarz intelektualny. Kisielewski posługuje się tą metodą, nawet jej nadużywa. Ale mu to nie wystarcza. Na szczęście Kisielewski zdaje sobie sprawę, że powiesciopisarz rozprawia się ze światem poprzez pokazywanie losu bohaterów. Nie ma odwagi na konstrukcję typową, wiernie historycznie sytuacji społecznej. Na wydobycie sił społecznych i politycznych, istotnie działających w tragicznym roku 1939. Buduje bzdurę, konstruuje fantastyczne spryszenie, ale ta bzdura pozwala na kompromitację bohaterów, na rozprawę ideologiczną.

II.

Mniejsza o prawdopodobieństwo pierwszego czy drugiego spryszenia. Są w tej powieści poruszone sprawy istotne. Prawdziwie, przekonująco, odważnie! Kisielewski kompromituje postawę i styl życia przedwojennego liberalnego intelektualisty. Kompromituje świat, dokładnie według wzorów Stefana Żółkiewskiego i prof. Chałasińskiego.

Kisielewski pokazuje, jak wyglądała niezależność pisma intelektualistów, wydawanego przez „uczciwych” piśmudczyków. Robi to świetnie, dokładnie tak samo, jak Kazimierz Brandys w swoich artykułach. Przy sposobności (każda pliszka swój ogonek chwali) kompromituje mitologię czynu, dokładnie tak samo, jak to wielokrotnie próbowałem czynić.

I wreszcie Kisielewski kompromituje całkowicie legendę o bohaterskim wrześniu. Kompromituje świetnie. Najciszej i najgodniej z książką płk. Kirchmayera i wywodami R. Matuszewskiego. Jak na jedną „katolicką” powieść — chyba wystarczy.

Wiem, że dla czytelników „Kuznicy” to są sprawy znane. Ale przypomnę raz jeszcze posłyszcie to samo z ust naczelnego publicysty „Tygodnika Powszechnego”.

Zaczynamy! Sprawa pierwsza: intelektualista przedwojenny. Pamiętacie, co pisał Chałasiński o ghetcie inteligentkim i Żółkiewski o izolacji społecznej polskiego inteligenta. Oto:

„Zygmunta pomyślał, że proletariatu, choć bardziej mu znany, niż Żydzi, był dlań w istocie nie mniej egzotyczny i obcy, niż oni. Robotnicy mówili pozornie, co on — lecz w istocie byli odń tak dalecy, że aż było to nie do wiary, nie do pojęcia. Tu, obok, o kilkanaście mil od Nowego Świata, w tym samym mieście, w tym samym powietrzu byli ludzie obcy, niezrozumiali, odrebni, dalecy... Zygmunta z uśmiechem patrzył na te barczyste, muskularne postacie, na ogromne spracowane ręce, na wąskie, złe ogolone twarze, ci po-

*) Stefan Kisielewski: „Spryszenie” („Panteon”, Warszawa, 1947, str. 368).

teżni mężczyźni to były dzieci — meświadome nieszczęście, trawienie życia na zabawkach — jakże dojrzały i doświadczony czuł się wobec nich ze swoją wiedzą o krainie dźwięków, krainie, w której zagłębiał się tykocin, która przemierzył wzduż i wszerz; świat ducha był jego światem — oni byli zaledwie u progu tego świata...

A teraz dalej: zabawa w odgrywanie umownej roli społecznej rezygnacja z działania, przekonanie o równowartości wszystkich typów życia, konwencjonalizm, przeświadczenie o fikcyjności wszystkich społecznych wartości, swoisty nihilizm kulturalny.

„Obecnie uważał literaturę jedynie za dostarczycielkę kunsztownych złudzeń i jako taką wmontowywał ją w cały wielki system kłamstwa, ogarniający ludzkie sprawy, działania, impulsy, namietności i twórczość. Życie było po prostu szarym, bezlitosnym schematem, gdzie tylko przedłużenie gatunku stanowiło jedyną, mogącą się ostać zasadę, na tle tego przeraźliwie zimnego, beznadziejnego krajobrazu, miłość, sztuka, namietność, działanie — wszystko to były błędne ogniki złudzenia mniej lub więcej intensywne, za którymi gonili ludzie, chcąc jakieś przedrzeć życie, chcąc się bawić, chcąc uciec od nudy, która jest przyrodzoną, naturalną atmosferą ludzkiego istnienia. Każdy bawił się jak mógł, zabawa była istotnym celem życia, lecz każdy usiłował ukryć to pod maską różnych waży i dźwięcznie bawiających słów — kłamstw, w istocie wszyscy gonili za rozrywką, za przedłużeniem czasu, bo czyniły młym były namietności, walka, praca twórcza, bogactwo i rozkosz, jeśli nie ciekawym przedłużaniem czasu...”

A teraz jak wyglądał kapitał myślowy polskiego intelektualisty, jaka posiadał teoretyczną wiedzę o rzeczywistości społecznej. Przypomnijmy sobie, co pisała „Kuznica” o odcięciu inteligenta od tradycji postępowych ruchów społecznych, o analfabetyzmie gospodarczym i politycznym, o niechęci do empirycznej wiedzy, pogardzie dla racjonalnego myślenia i planowego działania. Oto dwa fragmenty:

„Zygmunt przekonywał się niejednokrotnie, że głębokie namysły ograniczone do określonego odcinka czasu nie posuwają naprzód żadnej sprawy, wytwarzając tylko jako jedyny swój produkt atmosferę zmęczenia i zniechęcenia, w rezultacie czego, następujące po nich czyni, stają się częstym czymś pozornie przypadkowym i nieoczekiwanym — reakcją zmęczonego bezwładem mózgu, poszukującego w gwałtownej i nieumotywowanej decyzji przeciwwagi, odprężenia dla swego dokuczliwego stanu. Inna rzecz, że decyzyja taka, choć mózgowo nie umotywowana, posiada na pewno jakiś wewnętrzny, nieświadomiony związek z głębszymi pokładami duszy — w ten sposób czyn jest bezpośrednio połączony z ośrodkami podświadomości — w procesie tym pominięty zostaje mózg, jako organ niezdarny, nie wykonujący sprawności, potrzebnej do tak konkretnego i jednoznacznego aktu, jak powzięcie decyzji...”

Wystarczy. A teraz drugi fragment, tym razem, dla odmiany o kapitalizmie:

„Zygmunt wyrażał zdziwienie, że wszyscy boją się słowa kapitalizm, kapitał, jakby były one nieprzyzwoite — nikt nie wymawia go głośno — oprócz jego przeciwników. Dlaczego? Wszak system kapitalistyczny wyhodował kulturę Zachodu, w której żyjemy, wszak system ten daje cywilnej jednostce olbrzymie możliwości intensywnego życia, inicjatywy, dąży do wielkości, działającemu nie w imię jakichś irracjonalnie patetycznych, lecz normalnych dla wszystkich dostępnych pobudek życiowych, możliwości osiągnięcia olbrzymich wpływów, niezwykłej władzy — ten system (oczywiście w swej doskonałości, jakieś superamerykańskiej idealnej postaci) sprzyja wielkości, uprzednia wielkość, zezarzewiana w krajach autorytatywnych, totalnych, dla kraju władców. Bogactwo, posiadanie, komfort — to jest w istocie ideał duchowy...”

I tak bardzo długo: O „zieleni — jak pisze Tuwim — można nieskończenie”.

Proces demaskowania sięga jeszcze głębiej, obnaża megalomanię inteligentów, złudzenia, że oni właśnie są jedynymi Europejczykami w tym dzikim kraju, że ich fikcyjne życie jest jakąś obroną i trwaniem kultury zachodniej, zagrożonej przez barbarzyńców. I właśnie ten młot najostrejszy kompromituje Kisielewskiego, kiedy bohaterowi swojej powieści każe odnaleźć w zniszczonym przez wojnę mieszkaniu — rękopisy, patefon i płytę „Popołudnie Fauna”.

A teraz sprawa druga, owego pisma niezależnych intelektualistów, w którym zresztą odnajdujemy bez trudu przedwojenny faszyzujący „Bunt Młodych”. Tym razem wystarczą nam dwie cytaty. Tutaj talent Kisielewskiego świeci swoje triumfy.

„Polityka i Sztuka” nie parała się taką brudną robotą, jej „rewolwerowość” miała w rzeczywistości charakter czysto intelektualny i raczej abstrakcyjny — polegała po prostu na mówieniu prawdy (przynajmniej z punktu widzenia członków redakcji, gdyż prawda była rzeczą dosyć rozmaicie pojmowaną), głoszeniu z pasją i upodobaniem myśli i idei niepopularnych, wręcz na wykrzykiwaniu z rozkoszą rzeczy, o których nie lubili nawet mówić po cichu — wszyscy inni, istniejące takie sprawy, milcząco wykiełte i wykreślone ze słownika zarówno przez rząd jak i przez opozycję, zarówno przez prawicę, jak przez lewicę i przez centrum,

zarówno przez burżuazję jak i przez proletariatus, słowem sprawy nieprzyzwoite. A w takich sprawach lubował się cały zespół „Polityki i Sztuki” gorąco — przekora i ukochanie prowokacji intelektualnej, stosowanej wobec ludzi o nazbyt ustalonych i zeskorupowanych poglądach, były w tej redakcji niejako legitymacją członkowską. Nie należy jednak sądzić, by redaktorzy i współpracownicy pisma stanowili jakiś klub cyników — po prostu cenili oni jedynie inteligencję i nie łącząc się z niczym szczerze, cenili je ponad wszystko, nie rezygnując z nich dla żadnych, nawet najważniejszych względów. Była to postawa odważna, ale jednocześnie wymagała nazbyt wielkiej wielostronności psychicznej i uniemożliwiała kompromisy intelektualne, konieczne niestety na tym świecie dla przycięcia i sformułowania jakiegokolwiek postawy politycznej...” (Arturze Sandaursze, poznaj siebie!).

A teraz to samo pokazane jednoznacznie, obiektywnie, przetłumaczone z języka psychologicznego opisu na język, fi donc le mot! — „Kuznicy”:

„Rozwiązanie zagadki było jednak znacznie mniej atrakcyjne i mniej romantyczne: po prostu pismo utrzymywane było przez pewien odcinek bogatego ziemianstwa. Wśród ogólnej swej zmienności poglądów Geysztor (redaktor naczelny „Polityki”) niezmiennie utrzymywał bowiem jeden front polityczny: bronił ziemianstwa, bronił go przed reformą rolną, przed demokratyzacją, przed oświeceniem i przed wszelkimi w ogóle „kleskami”, bronił go w imię uporczywie głoszonej, graniczącej z obsesją i w dodatku nie nowej koncepcji, że arystokracja jako niezależna finansowo i duchowo od współczesnego klasowego społeczeństwa, przeznaczona jest do specjalnych celów, że z jej szeregów wyjdą jeszcze jednostki wybitne, które wyrosną poza obręb tej czy innej grupy społecznej będą w stanie wznieść się ponad dmozgórzoną antagonizmy i w sposób właściwy, godny reprezentować i wcielać wielkość państwa”.

Została nam jeszcze sprawa września. Tutaj Kisielewski jest najlepszy. Nie oskarża o chłórozostwo, niedołęstwo czy głupotę generałów i ministrów, to, przynajmniej mu, byłoby dla niego za łatwe. Oskarża przede wszystkim inteligencję. Z pasją i zaciekłością demaskuje i wyszydza heroiczną tęsknotę inteligenta. Pokazuje całkowite zagubienie i beznadziejność i głupotę warstwy, która twierdziła o sobie, że jest odpowiedzialna za losy narodu. Dla Zygmunta, dla jemu podobnych wojna przynosiła nareszcie nadzieję rozładowania wewnętrznej niepokoju, rozstrzygnięcia własnych komplikacji psychicznych. Inteligent oczekuje od wojny uleczenia z neurastenii. Wojna — jako lekarstwo na inteligentki katzenjammer — oto formuła, do której prowadziła lektura „Sprzysiężenia”.

„W duszy miał tylko jedną myśl: iść na wojnę, wyzwolić się z tego wszystkiego, uciec się w specjalnym zamkniętym w sobie żywiole wojska, zatracić siebie w dyscyplinie, w marszach, w walce, w życiu okopowym...”

I dalej: „Był rozdygotany i wściekły, wściekły, że oto wciąż jest w sytuacji sołganego szozura i zamiast odprężenia duchowego, którego oczekiwał od wojny i wojska, udziałem jego są stałe przeżycia zapędzonego w kąt nerwowca.”

Zamiast komentarza, wolę sięgnąć do wspomnień.

Pamiętam rozmowę z Janem Brzękowskim, w lipcu 1939 roku. Wieczór był duszny, siedzieliśmy na tarasie „Rotundy”, podano nam ostrzygi i Chablis. Niebo było rude w górze, nad bulwarami, jak zwykle o tej godzinie w Paryżu. W pewnej chwili Brzękowski powiedział: „Jest tak nudno, że żyć nie sposób. Musi przylecieć wojna! Musi się to raz wreszcie skończyć! Musi przylecieć coś rzeczywistego!”

To właśnie pokazał Kisielewski i dlatego — wrzesień jest najlepszą partią „Sprzysiężenia”. Oto jeszcze z marzeń o heroizmie jako najlepszej terapii na nerwowe przypadłości intelektualisty:

„Zanim Zygmunt domaga się swego pocia-gu, Niemcy mogą zbombardować dworzec, przerwać linię, a wtedy wszelkie nadzieje na heroizm przepadną, pozostanie cywilnym łazikiem, obnoszącym po świecie swoje ciekawe perypetie”.

I wreszcie, specjalnie bliskie memu sercu, przeżycie i ośmieszenie problemu „Lorda Jima”. Fikcyjność tego dramatu moralnego pokazana została w paru zdaniach, wystarczyło znaleźć jakąś analogiczną sytuację konkretną, aby dramat postaw moralnych prysnął jak bańka mydlana. Kisielewski pokazuje czysty werbalizm „wierności conradowskiej”. Bohater postanawia zdezerterować:

„Zygmunt wzbraniał się długo — przerażała go myśl o dezercji, o zdradzie, o kompromitacji: wemga go za tchórze — istny problem „Lorda Jima”, składał przecież przysięgę na wierność dowódcy, lecz w chałupie Kowalski, podchorążak i dwaj strzelcy natarli nań gwałtownie — podobno we wszystkich kompaniach już się rozchodzą, to nie ma sensu, to nawet nie patriotycznie dać się tu zmarnować — Czyż litera prawa ma być ważniejsza niż treść — nastawał Kowalski. Zygmunt bronił się, ale stopniowo opór jego słabnął — czuł, że było to najmądrzejsze wyjście z tej całej arcygłupiej sytuacji...”

Mógłbym tak cytować strunami. Obraz września w powieści Kisielewskiego pokazuje nie tylko kleskę militarną, ale gwałtowny rozkład społeczny, rozpadanie się wszystkich więzów, którymi trzymało się do kupy sanacyjne państwo. Polecam ten rozdział specjalnie P. Jasienicy, redakcyjnemu koleżce autora w „Tygodniku Powszechnym”.

III.

Nie wiele już mam do dodania. To co napisałem wystarczy, aby uznać „Sprzysiężenie” za książkę odważną, uczciwą, cenną. Kilkanaście miesięcy temu po przeczytaniu w pierwszych numerach „Twórczości” frag-

mentów prozy Kisielewskiego i Brandysa, pisałem: „Teoretycznym postulatami Brandysa odpowiada najsilniej drukowany fragment prozy Kisielewskiego, który, gdyby na serio chciał bronić swego programu literackiego, winien obciążyć rękami podpisać się pod „Drewnianym koniem” Brandysa”. Dziś, kiedy wyszły drukiem książki obu autorów, tylko w nieznacznej mierze zmieniłem zdanie. To przecież właśnie zachowanie rygorów obserwacji doprowadziło Kisielewskiego do obnażenia pustki duchowej i wściecznictwa postawy przedwojennego inteligenta. I to jest, czy tego chce autor, czy nie chce właśnie zwycięstwem realizmu.

Ala mały empiryzm i drobno-naturalistyczny styl zakreśla granice pisarzowi. Pozwala mu tylko kompromitować, negować, wyszydzać. Drogi wyjścia pokazać nie może. Stąd dwuznaczna symbolizacja impotencji bohatera książki, stąd wręcz nieumiejętna drobno-naturalistyczna mitologizacja, że jedyną wartością są przeżycia jednostki, jej zdrowy egoizm, inicjatywa, dążenie do pełnego i bujnego życia. Darujmy! Darujmy jeszcze rozgadanie tej powieści, która by zyskała po skróceniu do połowy, nieumiejętność selekcji i nonsensowną konstrukcję losów ludzkich.

Cenna niewątpliwie w tej książce jest rzetelność obserwacji, zapożna laickość klimatu intelektualnego, pasja mówienia rzeczy przykrych, zdrowy cynizm. To są intelektualne i artystyczne gusta Kisielewskiego i, muszę stwierdzić, że gusta te mamy wspólne. Podejrzałem to zresztą od dawna, czytając recenzje Kisielewskiego w „Tygodniku”. Podałaby mu się przecież te same książki, co nam, choć upierał się za każdym razem, że mu się podobają z zupełnie innych powodów.

Mniejsza o to. Bóg z nim i Książę Metropolita! Nie lubię interpretacji psychologicznych. Ale czasem kordzi mnie przypisać autorowi, to co pisze o swoim bohaterze:

„Zygmunt miał więc ugruntowane wątpliwości, co do własnego stanowiska, lecz wątpliwości te chował dla siebie — nikt się ich nie domyślał, na zewnątrz bowiem występował zawsze niezmiennie agresywnie i bojowo: nieustępliwie walczył, obnażał zakłamania, niedomówienia, nieprzemyślenia, walczył i w miarę walki naprawdę nie się podniecał: upajała go jak narkotyk rozkosz bezgranicznej swobody myśli, nie mającej autorytetów, ani świętości, orgia nie skrepowanej niczym prowokacji, upajającej, pieniącej się jak boski trunk, przekory. Walczył dla samej walki, a gdzieś głęboko na dnie duszy chował nadzieję, że może właśnie to, kult walki samej dla siebie, kult „intelektualistycznego” bezlitosnego „wielkiego prania” był jego prawdziwą, psychicznie skomplikowaną, ale tym niemniej szczerą namietnością, istotną intensywnością jego życia...”

To autopoizet? Chyba nie. Przecież w całej książce udowadnia Kisielewski, że jego bohater był nie tylko fizycznym, ale moralnym i twórczym eunuchem.

Jan Kott

RYSZARD MATUSZEWSKI

ROZSADEK I PASJA

WSZYSTKIE „szkice i zaczepki” Kotta zawarte w zbiorze „Po prostu” czytalem po raz drugi. Znałem je z „Odrodzenia”, „Przekroju”, „Kuznicy”. Mimo to czytałem je, nie mogąc oderwać się od tej lektury. Jeden po drugim na potykały mnie znajome tytuły: „Smok i Śpiące królowy”, „Świątoszek bez kołców”, „Zaciemnienie zostało zniesione”, „Uczone gęsi i profesorowie uniwersytetu”. Znow jak w czasie pierwszego z nimi zetknięcia zgadzałem się z Kottem we wnioskach a irytowałem przy niektórych przesłankach, krzychałem „tak, tak!”, żeby kiedy indziej zachnąć się nagle i zawołać: „to jednak nie”. Ani przez chwilę nie byłem letni, tylko albo zimny albo gorący z udziałem mi się namietnej pasji autora. Tak, to napewno dobra książka: pierwsze i jedyne od czasów wojny znaczące narodowe kadzi. Nie ma Boy’a, nie ma „kronik tygodniowych” Słonimskiego — jest „Po prostu”. Lepsze czy gorze od poprzednich? Słyszałem westchnienia ludzi, pamiętających „tamte” czasy, z biegiem których posuwali się w latach: „dobre, ale nie to” — mówili. Myślę, że nie jest to sprawiedliwe.

I Słonimski i Boy pełnych dwadzieścia lat pracowali na swoją sławę. Mowa tu oczywiście o Słonimskim i o Boy’u, jako o felietonistach — nie jako o poecie i tłumaczku. Kott w pierwszym zbiorze swoich szkiców wydaje się godnym następcą nurtujących nimi namietności.

Zresztą dla Kotta „Po prostu”, to obok „Mitologii i realizmu” także jak gdyby drugi garnitur. Nasuwa się analogia z Irzykowskim: „Walka o treść” lub „Czyn i słowo” — z jednej strony, z drugiej — „Lżejszy kaliber”. Lżejszy — to nie znaczy mniej ważny. Nie na każdej pozycji ustawić można ciężkie działa.

Wydało się, że tego nie rozumieją ci, którzy występują pod adresem Kotta z ustawicznymi pretensjami. Tu przestawił Wołodyjowski z Bohunem, tam był na bakier z chronologią, ówdzie egzamin z obowiązujących przepisów prawa cywilnego

wypadł na trzy mniej. Ludzie usiłujący felieton Kotta poprawiać i oceniać przy pomocy baedekerów i encyklopedii przypominają mi nieco tych, którzy rysunki Topolskiego lub Zaruby chcieliby oglądać przez lupę i odpowiednika każdej kreski szukać w modelu, wołając: nie prawda, nie ma tej kreski, nos za długi!

Byłem nie dawno w Anglii. Z towarzyszącymi wycieczki (dziennikarzami) i z miejscowymi Polakami z kół zbliżonych do ambasady zdarzyło mi się zamienić parę zdań na temat szkiców Kotta o Londynie, które znalazły się w „Po prostu” jako osobny rozdział na końcu książki.

— Jak on mógł pisać, że Londyn podobny jest do Łomży! — krzywił się autor wstępnych artykułów politycznych w dużym dzienniku stołecznym.

— Albo z tą gumą na ulicy, gdzie są największe banki. Oczywiście blaga! — człowiek, który znał Anglię jak własną kieszeń zaręczał, że przed Bank of England jest asfalt, a nie nawierzchnia z gumy.

— To nie prawda, że większość Angielek ma reumatyzm! — protestował inny znawca tej właśnie dziedziny angielskiego życia.

Wydało mi się, że te i tym podobne krytyki nie bardzo podważają sens twórczości felietonowej Kotta. Wydało mi się, że do felietonów Kotta należy podchodzić z dwu punktów widzenia. Po pierwsze trzeba w ich autorze dostrzec pisarza, który w ciągu dwu pierwszych lat niepodległości i organizacji życia w nowej Polsce należał do najbardziej „czytelnych” publicystów i felietonistów, zaalarmował opinię publiczną w niemałej ilości konkretnych spraw, poruszył nie małą ilość istotnych społecznych bolączek naszego życia. Po drugie, trzeba w nim zobaczyć jednego dziś w Polsce przedstawiciela zupełnie specjalnego gatunku publicystyki literackiej: szkicu, felietonu, essay’u sięgającego świadomie po wzory do ewokowanej i wynoszonej często przez Kotta volteriańskiej powiastki filozoficznej.

Spróbujmy zgrubsza zmierzyć okiem pole ostrzału tej baterii działek p. p. „Lżejszego kalibru”. Celowo zaczęliśmy od przypomnienia paru tytułów: zwracając uwagę, zaciekawiając, zmuszając do zapoznania się z treścią. Z treścią również nieprzynoszącą czytelnikowi zawodu. Zawsze jest ona w jakiś sposób istotna i ważna. Zawsze porusza pełne określonego sensu zagadnienie i rozwija je w sposób nacechowany dwoma nieodstępnymi właściwościami talentu Kotta: rozsądkiem i pasją.

Zdawałoby się, że trudno jest niekiedy godzić te dwie rzeczy. Kott łączy je w sposób rzadki, szczególnie na naszym, polskim gruncie: jego rozsadek dotyczy głównie spraw praktycznych, pasja — teoretycznych spekulatywnych. „Prześladowała nas zawsze najbardziej fatalna ze wszystkich dobroduszek — dobroduszość myślenia” — pisze w szkicu „Ani gorący, ani zimny”. — „Zabijaka szlachecki z XVII wieku, jakobin z „Kuznicy” Kollataja, partyzant z obecnej wojny, kiedy przychodziło do myślenia stawał się potulny jak jagnię”. „Jak nakaz przyzwyczajenia obowiązywała u nas serdeczność we wszystkich dyskusjach teoretycznych. Gwałtownicy w sprawach prywatnych, Cycerony, kiedy w grę wchodziła zadraśnięta ambicja grupy, partii czy narodu, miękli jak wosk w sporze o ideologię, o program teoretyczny, o doktrynę. („Obrachunki noworoczne”) Kott teoretycznie uzasadnia potrzebę zajmowania określonych stanowisk w sprawach teoretycznych „Trzeba powiedzieć wyraźnie: są dwie metody porozumienia. Jedną z nich to metoda klajstru, pocałunków z dubeltówki, toastów „kochajmy się” i chóru: „Jeden tylko, jeden cud, z szlachetą polską polski lud”. Porozumienie takie wyrasta na drodze głębokiej pogardy dla każdej ideologii, lekceważenia własnych i cudzych przekonań”.

W sprawach praktycznych, przeciwnie, Kott jest raczej zgodny i umiarkowany: planowanie polityki kulturalnej, zagadnienie planu wydawniczego, zagadnienie zmia-



Jan Kott

ny praw autorskich czy upowszechnienia twórczości klasyków literatury polskiej i obcej — to sprawy rozważane przezeń w świetle wskazań głębokiego zamilowania do pomnikowania dzieł europejskiej kultury i najtrafniejszych założeń zdrowego umiaru. Trzeźwy rozsądek cechuje również sposób podjęcia przez Kotta zagadnień zmian w polskim ustawodawstwie (reforma prawa małżeńskiego) i ataków na niedomagania w aparacie państwowym („Urzednicy kultury“, „Protokół i przedpokój“).

„Po prostu“ rozpada się, nie licząc dodatku zawierającego felietony o Londynie, na dwa działy: „Postęp i bzdura“, oraz „Walka o realizm“. W pierwszym przeważają zagadnienia praktyczne i polityczne, w drugim teoretyczne i literackie. Nie jest to żaden podział absolutny. Teoria i praktyka, pasja i trzeźwość, rozsądek dominują na zmianę często przy rozważaniu jednego i tego samego zagadnienia. W felietonach Kotta nie ma nieuzasadnionego teoretycznego rozgraniczenia między teorią i praktyką.

Z każdej potrzeby teoretycznej powinny w zasadzie wynikać praktyczne wnioski. Praktyka, zwykła codzienna obserwacja otaczającego nas życia winna służyć uzasadnieniu teorii. Gdyby było inaczej, cóż teoria była by warta? Z chęci szybkiego rozwiązania teorii z praktyką wynikają niejednokrotnie charakterystyczne dla Kotta i zrozumiałe, zwłaszcza w krótkich felietonach, uproszczenia i paradoksy. Oto szkice „Wojtek i polityka“. Chcąc uzasadnić lekomyślność i bezkierunkowość idealizmu naszej młodzieży Kott pisze:

„Nie wierzę w narodowe wady i zalety. Sądzę, że zawiń tu raczej pewien określony i dobrze nam znany ideał wychowawczy. Nazwijmy go harcerstwem. Czy znaczenie wiecznych harcerzy? Nie mówią nigdy — „ojciec“ tylko „mój stary“, nie mówią „dobrze“, tylko „być jest“; uważają że należy wychowywać charakter, ćwiczyć ciało i że polityka nie ma żadnego sensu. Jak najdalej — mówią — trzymać młodzież od polityki.“

Wszystko to pozornie wydaje się bardzo ładne i jak gdyby słuszne. Ale spróbujmy się tylko zastanowić: „Pamiętamy wszyscy sprzed wojny hasło: „Silni! Zwycię! Gotowi! Przypomniał to niedawno w „Kuznicy“ Stefan Żółkiewski w swoim „Pamflicie na młodszego brata“. Stwierdził, że zawsze kiedy do władzy dochodzi obóz wstępnictwa i zacofania, zmienia się w szkołach ideał wychowawczy. Zamiast rozwijać myśl — kształcić się charakter, zamiast budzić zdrowy krytycyzm, zaufanie do rozumu, dzielność intelektualną, żąda się posłuszeństwa, męstwa, wiary, mówi się o wierności i honorze. Zamiast wychowywać trzeba umysły, budzi się zdrowe instynkty...“

Oczywiście wszystko zależy od ustalenia pojęć takich jak polityka, charakter. Określenie pożytecznej organizacji młodzieży paroma sztubackimi gestami i tendencją w zasadzie słuszną, jeśli ją rozumieć właściwie, ma w sobie posmak niesprawiedliwej karykatury. Dlaczego charakter utożsamiać z instynktem i ćwiczeniem ciała? Dlaczego rozum utożsamiać z polityką?

Mais c'est le ton qui fait la chanson. Felietony Kotta nie są abstrakcyjnym wywodem teoretycznym. Dotyczą określonego czasu i określonej sytuacji. Wojtek — to dzielny i posłuszny harcerz, który poszedł do AK, nie chcąc w niej widzieć prawicowej organizacji. O charakterze i apolityczności mówili wtedy ludzie gardzący rozsądkiem i uprawiający zupełnie określoną politykę. Tylko to należy wyczytać z felietonu Kotta. „Szacunek może budzić jedynie śmierć w słusznej sprawie“ — pisze Kott. Prowokacyjne. Szacunek winna budzić każda śmierć bohaterska. Ale w roku 1945 zbyt wielu ludzi widziało bohaterstwo w tym co dla innych było zbrodnią, aby można było rozgrzeszyć każdą pogardę własnego życia z punktu widzenia zbiorowych

interesów. Nic poza swoim czasem. Tu nie chodzi o prawdy oderwane.

Szkice z cyklu „Walka o realizm“ przypominają nam, że to właśnie Kott rozpał przed dwoma blisko laty dyskusję wokół tego pojęcia. O jej przebiegu mówią artykuły i felietony: „Dwa realizmy“, „O katastrofizm“, „Nie wystarczy groteska“, „O zamówieniu społecznym“ i „Droga do realizmu“ będąca recenzją z „Nocy“ Andrzejewskiego. W tymże cyklu znalazła miejsce kapitalna ocena „Przedwiośnia“ Ze romskiego oraz polemiczna próba podsumowania półrocznej działalności „Tygodnika Powszechnego“. Dyskusja o realizmie zataczała kręgi szerokie, była jedynym może w Polsce nurtem postulującym, sięgającym po hasła i wskazania na przyszłość krytyki literackiej po wojnie. Tylko obóz katolicki usiłował przeciwstawić jej swój punkt widzenia na zadania literatury. Stąd — polemika z „Tygodnikiem Powszechnym“.

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(List jedenasty)



Świetne studium Stawara o Boyu-Zeleńskim podnieśli mój trochę znudzony umysł do jeszcze jednej rewizji otoczenia. Powiedziałem znudzony, bo ilość zjawisk kulturalnych, dziejących się w Krakowie jest przecież ograniczona. W sensie dosłownym i przenośnym. Ruch, na przykład, teatralny jest w znacznym stopniu ruchem pozornym. Nie można go zestawiać z ilością barwnych afiszów. Afiszów jest rzeczywistość największa ilość. Przyjrzyjmy się anonansom i w rzeczywistości zobaczymy jeszcze jedno niepotrzebne wznowienie „Wesołej Wdówki“, „Rozkosznej dziewczyny“ — operetki, które wytlomaczyć mogłaby, być może, doskonała obsada aktorska, czy baletowa. Nie można się bocyć na dobrą komedię muzyczną — też jest gatunkiem — ale zła operetka jest już sprawą dzisiaj nie do zniesienia... A jednak wznowia się. Przypuszczam, że także trochę na złość programom. Programom podnoszącym i uspołeczniającym sztukę widowiskową. Kraków, miasto zresztą spokojne, lubi od czasu do czasu pokazać taką siłę — sprzeciwić się oczywistym potrzebom kultury, poprzez nonsens przeciwko swej dobrej kulturalnej chwale.

Ale Stawar natchnął mnie do czego innego — nie do narzekania. Zapragnąłem sprawdzić, ile jest jeszcze w Krakowie z atmosfery, którą atakuje Boy i z której także czerpie.

Kraków „pański“. Kraków „księży“. Kraków „mieszczański“. Miasto kwitnącej secesji, dumne ze swej królewskiej tradycji, zachowujące poczucie hierarchii obywatelnej. „Obiektywnej“, bo chodzi także o związek: z tym czy innym wspaniałym gmachem czy pałacem. Splendor spada na każdorazowego dzierżawcę obiektu. I tak najbardziej szanowanym piszącym jest ten, kto ma bezpośredni kontakt z „Pałacem Prasy“. Publicystów szanuje się bardziej, niż literatów, współpracowników „Dziennika Polskiego“ wyżej niż „Odrodzenia“ (*). Wyjątek stanowi „Tygodnik Powszechny“, jego współpracownicy stoją w opinii krakowskiej najwyżej, ponieważ kontaktują się z pałacem arcybiskupim. A to już jest powaga skali, wobec której i Balicki i Szczepański z całą swoją Ikaowską parantellą muszą wyprząc. Trzeba przyznać, że Balickiemu przychodzi to „wyprzeganie“ z pewnym trudem, nie lubi nikomu ustępować. Chętnie i arystokratycznie przyzwala nazywać „Dziennik Polski“ najlepszym pismem polskim.

Gdybyśmy sięgnęli po inny, prawdziwszy obiektywizm, musielibyśmy rzeczywiście powiedzieć, że jest to najlepszy, popołudniowy dziennik krakowski. Z doskonale prowadzonym dodatkiem literackim.

Pismem sprzeciwiającym się tradycji pańskiej, księżej, mieszczańskiej jest „Echo Krakowa“, wychodzące każdego dnia w południe. Redagowane jest żywo — czytane przez robotników, inteligencję pracującą.

Trochę za podszeptem Stawara przyjrzałem się bliżej wnętrzu krakowskiemu. Są

(*) „Odrodzenie“ bowiem nie opanowało żadnego tradycyjnego gmachu w mieście.

Wiele sformułowań Kotta było powtarzanych, cytowanych. Wiele stanowiło punkt wyjścia dla pozytywnej i płodnej intelektualnej wymiany myśli.

„Dyskusja o realizmie“ prowadzona była na wyrost, formułowała zasadnicze pretensje, a nie program literacki. Obiektywność poznania, wierność wobec faktów rzeczywistych — to dopiero rudymenty myślenia humanistycznego. Odbudowa wartości moralnych, które pozwolą na słuszną ocenę czynów ludzkich, zgodną z rygorami postępu i rozwoju społecznego — to postulaty pedagogiki społecznej. Diderot, Balzac i Prus a nie Zola, Maeterlinck i Proust — to zagadnienia wzorów, przydatności pewnych odziedziczonych typów powieści dla nowych treści. Upolitycznienie literatury — to najpłycej: aktualna propaganda, mniej płytko: rozszerzenie tematyki, a jeśli pojąć głęboko: wybór trafnych

związków przyczynowych, określających działalność człowieka. A więc nie Spencer, nie Freud, nie Heidegger, ale, jeśli nawet nie Marks, to choćby Levy - Bruhl czy Czarnowski. Inaczej: konstrukcja losu ludzkiego, pojęta nie jako studium namietności, choroby czy oddziaływania łaski, ale jako analiza przemian grupy społecznej... „Wszystkie te postulaty realizmu przełożyć trzeba dopiero z języka idei na język praktyki artystycznej“.

„Po prostu“ — to książka lekka w formie, ale w treści poważna. Książka, nad którą, niezależnie od aprobaty czy też krytyki jej tezy, nie przechodzi się łatwo do porządku dziennego.

Omawiając jej szatę zewnętrzną nie sposób nie wspomnieć o wymienionych rysunkach Zaruby. Są znakomitem dopełnieniem i ilustracją stylu książki.

Ryszard Matuszewski

jeszcze bardzo secesyjne mieszkanka z uroczym lustrem w ramach przedziwnie stylizowanych. Najwspanialsze takie lustro wisi w kawiarni Michałika. Przeważają meble biedermajerowskie. Nowoczesnej techniki stolarskiej nie widać nawet w domach małżeństw najmłodszych.

Zamożność mieszczaństwa krakowskiego jest mała. Stopa życiowa niższa, niż w Warszawie. Przyjęcie świąteczne skromne. Rozmawia się najchętniej o zjawiskach artystycznych. I trzeba oddać — zainteresowania te są żywe — żywsze od zainteresowań ekonomicznych, czy społecznych. Jest bowiem w dobrym tonie przemiany społeczne lekceważyć, doniosłości zjawisk ekonomicznych nie zauważać. Pisarza oceni się wtedy najbardziej, jeśli potrafi przejszć zreczenie mimo tych zjawisk. Stąd świeży, nieoczekiwany kult, znakomitego zresztą artysty, Szaniawskiego.

Kawiarnia Michałika znajduje się w zupełnym upadku. Ze świetności „Zielonego Balonika“ zostało tylko puste wnętrze. Meble, obrazy, kukły przypominają — i straszą. Przez cichy lokal przesunę się od czasu do czasu turysta, czasami w mrokach trzeciej sali utknie zakochana para. Ze starej młodopolskiej gwardii zjawia się tu na popołudniową kawę Karol Frycz. Duch epoki dziwnej, niesamowitej.

Współczesny Kraków intelektualny, kpiarski nie ma swojej kawiarni. W godzinach popołudniowych Tadeusz Dobrowolski, najlepszy polski teoretyk sztuki, pracuje u Noworolskiego na Sławkowskiej. Pracuje — znaczy to, że albo pisze, albo rozprawia z przyjaciółmi przy stoliku. Do stolika tego ciągną plastycy: Czesław Rzepiński, Cybisowa, Fedkowicz, Uniechowski, Stopka... Malarze krakowscy są na ogół żywi intelektualnie od krakowskich literatów. Oczywiście myślę o pisarzach rdzennej krakowskiej. Napływowi z trudem zapuszczają korzenie w glebę kulturalnego miasta. Warszawiacy prędzej zaaklimatyzowali się w fabrycznej Łodzi. Sławna z czasów przedwojennych kawiarnia Plastyków ożywia się teraz tylko w soboty wieczorem. Wszyscy artyści przekonali się te-

raz do tańca. Tańczą chętnie. Miejszy nadzieję, że z tych zrazu „prywatnych“ zainteresowań stanie się także coś zasadniczego dla dobra sztuki choreograficznej wielkiej, a wzgardzonej.

Tak. Jest to miasto i dziś trudne dla człowieka, wychowanego w obyczaju warszawskim. Normy mieszczańskie obowiązują tu, jak w żadnym innym mieście polskim. Kiedyś prowokowało to artystów do cygańskiego stylu życia. Styl ten stworzył nową sztukę: dziwną, niesamowitą, groźną. W dzisiejszej sytuacji cygan sprzeciwiałby się już tylko sensowi własnemu. Pokutują w Krakowie i tacy. Epigoni dziwactwa dawno zgasłego. Do stylu secesji nie nawiąże się już dzisiaj w żaden sposób. Artysta nawet w Krakowie musi zdjąć „koronę“ ekstrawaganckiego błazna — postęp przestał być polskim marzeniem. Dzieje się. Wyspiański, największy z charakterystycznych dla Krakowa artystów, dziwił się też, że w Warszawie chcą grać jego „Wesele“. Było to w roku 1905. Napisałem to specjalnie dla Krakowa — mówił — w Warszawie dzieją się już rzeczy, którym prowokacji nie potrzeba.

Stefan Otwinowski.



KRONIKA RADZIECKA

125-letniej rocznicy śmierci Niekrasowa poświęcono w Rosji wiele artykułów i wspomnień. Nie ma bodajże pisma, w którym nie umieszczono artykułu omawiającego poszczególne zagadnienia z jego twórczości, podkreślające równocześnie doniosłą rolę jaką wywarła i wywiera ona na współczesną poezję radziecką. Oto główne tezy:

„Lirę poświęćmy temu narodowi“ — pisał o sobie Niekrasow.

Żył w wyjątkowym okresie, gdy rząd carski „reformami z góry“ chciał zniszczyć ruch rewolucyjny. Pochodził ze stanu szlacheckiego. Przeszłość swojej nigdy nie idealizował, nie opisywał z leką jak Turgieniew swe „Gniazda szlacheckie“ albowiem wspomnienia młodości były zbyt ponure. Dla tego też dwór i jego otoczenie, a więc środowisko a nawet krajobraz widzi stałe w czarnych barwach, barwach chłopskiej nędzy. Nie oznacza to wcale, że w twórczości jego nie było wahań. Wahał się pomiędzy Czernyszewskim, a liberałami, jednakże sympatie jego były stale po stronie Czernyszewskiego, po stronie radykalizmu. Źródło owych wahań tłumaczy dość dobitnie w wierszu „Ojczyzna“. „We dworze nauczyłem się cierpieć i nienawidzić, nienawidzić w duszy sromotnie chowając“. Nie potrafił w tym czasie w takiej mierze jakby tego pragnął przezwyciężyć swojej przeszłości, chociaż w powieści „Sasza“ bardziej realistycznie opisuje środowisko dworu, aniżeli Turgieniew. Im bliżej sześćdziesiątych lat, tym mniej zaobserwować się da u niego liberalistyczne sympatie. Przy końcu 50-tych lat jest już najbliższym sprzymierzeńcem

Czernyszewskiego i Dobrołubowa. Wtedy jednakże zarysowują się w charakterze jego przeciwnictwa. W okresie rozgromu rewolucyjnego ruchu, gdy Czernyszewski został zesłany Niekrasow nie mógł zdobyć się na czyn. Tę słabość swego charakteru, rozpiętość pomiędzy słowem a czynem uświadamiał sobie doskonale. W wielu utworach pisał o tym otwarcie. I to samobiczowanie poetyckie jest niezmiernie charakterystyczne dla poety.

Obraz matki płaczącej, postać chłopki osma-ganej knutem przebiega się przez jego lirykę. Nędra chłopska, choroby, śmierć, cmentarz, chłop nad którym znęca się pan — oto tematy wierszy. Koloryt obrazów ludowych ponury. Nie jęcza tylko słudzy i dzieci. Nie dziw, że chłopci zapisują swą biedę. Wszak był to okres kiedy „chłop pracował do północy a pił do śmierci“. Pomimo pesymistycznego wydźwięku utworów dostrzega jednak pierwiastki buntu chłopskiego, jak np. w poematach „Korabiejniki“, „Pieśń o rozbójniku Kudiarze“. Przejawem buntu przeciwko warunkom życia staje się pijaństwo, bandytyzm, samobójstwo. Duże epickie utwory to: „Ogrodnik“, „Wino“, „Zapomniana wieś“. W mniejszych utworach, Niekrasow lubi używać formy pieśni ludowej. Często parę scen łączy postacią opowiadającego np. w utworach „Komu na Rusi żyć dobrze“, „Mróz - Czerwony - Nos“, „Noc“ w wierszach tych metryka ustawicznie zmienia się, akcja rozwija się powoli.

Urbanistyczne motywy dostrzec możemy we wcześniejszych wódewiłach, w melodramatach i w powieści „Życie i przygody Tichona Trosnikowa“.

PRZEGŁĄD PRASY

Petersburg Niekrasowa niezym nie przypomina romantycznej, dumnej stolicy Puszkina albo Gogola. Autorowi „Petersburskich zaułków” obcy jest przepych wspaniałych defilad. Opisuje biedne mieszczańskie, głoć, nędzę, tworzy ogromną galerię postaci: dorobkarczy, prostytutki, lokajów, nędzą miejskiej, szlachty, rzemieślników, drobnych urzędników. A więc wprowadza do literatury ludzi takich kategorii, którzy dotychczas znajdowali się bezwzględnie poza granicami estetyki literackiej. Nie pomina również i robotników (Poe-
mat „Kolej żelazna”).

Parodie utworów literackich, kuplety, poematy felietonowe i satyra z owym charakterystycznym „niekrasowskim spojrzeniem” uzupełniają jego sylwetkę.

Jakie są więc zasadnicze cechy twórczości Niekrasowa? Gdy w tym okresie wielu poetów starało się być apolitycznymi, propagując hasło sztuki dla sztuki, Niekrasow stał się domagać się uspołecznienia sztuki. Stworzył trybuny rosyjskiej demokracji, czasopisma „Sowremiennik” i „Otoczestwiennyje zapiski”. W r. 1855 pisał: „Nie ma nauki dla nauki, nie ma sztuki dla sztuki, wszystko istnieje dla społeczeństwa”. Tym samym staje się realistą swojej epoki. Demokratyczna tematyka wpływa na jego styl. Mówił ustami swoich bohaterów. Często jest to przeto poezja dysonansów. Operował folklorem, elementami pieśni ludowej. Nie dziw, że pieśń jego „Korobiejni” splewa cały naród. Wszystko co stworzył nasycone jest pasją patetyczną.

Od ludzi żądał uczciwości, a od uczciwości bohaterstwa. Trzeba pamiętać, że żył w takim okresie, gdy wielu pisarzy, jak mówił Saltykow-Szaczdryn, „budowało życia swoje na przytępieniu się do pedłaści”. A Niekrasow tworzył tak jak pisał w wierszu „Poeta i świat”.

„Idi w ogień za cześć otcziny,
Za ubieźdzenie, za łubow.
Idi i glni bezprzecznie
Umrocz nie darom. Dleło proczo
Kogda pod nim strutsja krow.”

Czernyszewski nazywał Niekrasowa „najbar-
dziej szlachetnym z poetów”, a Biełicki pisał
do swego przyjaciela: „Nauze się „Pieśni Jer-
jomuski” na pamięć. Pamiętaj i kochaj te
wiersze”.

Oczywiście cenzura carska była o nim cał-
kiem innego zdania, świadczy o tym notatka
Plewego. Poeci klasycyści jak Wasyli Botkin
a nawet Turgieniew oburzali się, „zaprzestań
opisywania miłości wojnie, ogrodników i ca-
łej waiowatości” pociągaj go Botkin.

Iłja Selwiński w artykule o Niekrasowie
pisał: „Zdarzają się poeci tak bliscy swojej
epoce, że nie można wyobrazić ich sobie po-
za tę epokę, a epoki nie można wyobrazić
sobie bez nich... Gdyby zginęły materiały hi-
storyczne dotyczące tego okresu a pozostały
tylko utwory Niekrasowa, moglibyśmy wy-
czuć charakter epoki”. Selwiński ma bez-
przecznie rację. Niekrasow uczył kochać i nie-
nawidzieć. Twórczość jego, oparta na obser-
wacji, na konkretnym materiale — nie jest
utopijna. I dlatego liryczne jego nazwa-
my polityczną.

W artykułach poświęconych Niekrasowowi
podkreśla się, że współczesna poezja radziec-
ka świadomie nawiązuje do jego tradycji, jest
społeczna i polityczna. Taką rolę wyznaczył
sobie Majakowski i taką właśnie drogę obrało
sobie całe współczesne pokolenie poetów.

Instytut literatury Akademii Nauk S. S. R.
wydaje tom „Literaturnoje Nasledstwo” (w
dwu półtomach 90 ark.) poświęcony twórczo-
ści tego wielkiego poety. Książka ta jest wy-
daniem Akademii Nauk S. S. R., zawiera ar-
tykuły teoretyczne, wspomnienia, przedruki tek-
stów, listy, fotografie oraz materiały archi-
walne dotyczące twórczości i biografii poety.

Wydanie „Niekrasowskiego tomu” stanowi
kontynuację pracy redakcji „Literaturnoje
Nasledstwo” w badaniu nad twórczym dzie-
łostwem rosyjskiej demokratycznej literatury
i krytyki. Tym samym książka ta zbliżona
jest do poprzednio wydanych tomów poświę-
conych Czernyszewskiemu, Dobrołubowowi,
Szczedrynowi i Hercenowi.

W książce tej znajdują się artykuły teore-
tyczne, omawiające poszczególne zagadnienia
literackiego dziedzictwa Niekrasowa oraz nie-
wydane materiały archiwalne.

Pierwszy tom rozpoczyna się artykułem
A. Jegolina „Idealny Niekrasow”. Związek
poezji Niekrasowa z ówczesnym postępowym
ruchem omawia praca B. Koźmiana „Wielki
poeta rewolucji”. Analizę estetycznych poglądów
poświęcony jest artykuł A. Ławrieckiego
„Literacko estetyczne poglądy Niekrasowa”.
Nowe dotychczas nieogłoszone, względnie za-
pomniane teksty Niekrasowa zajmują więk-
szą część I-go tomu i cały drugi pół tom. Za-
mieszczone są również artykuły teoretyczne
i krytyczne Niekrasowa, drukowane w „So-
wremenniku” w I. 1855-6 w których poeta
walczył z bezideowością w literaturze.

Wspomnienia o Niekrasowie oraz wydanie
drukami korespondencji poety stanowi cenne
uzupełnienie książki. —js.

TREŚĆ NUMERU 4:

Józef Chałasiński — Pedagogika perso-
nalizmu i pedagogika socjalizmu. Celina
Bobińska — Rewolucja klasyczna. Stefan
Żółkiewski — Rozmaitości. Michał M. Bor-
wicz — Adam Ważyk — Jan Kott — Spra-
wa Stanisława Wasylewskiego. Kazimierz
Brandys — „Medallony” Zofii Nałkowskiej.
Adolf Rudnicki — Wielki Stefan Konecki.
Jan Zabłocki — Casus Theodore Elbo. Ste-
fan Żółkiewski — Ze wspomnień polskiego
intelgenta (II). AWK — Pierwszy pełny
metraż krajowy. Ryszard Matuszewski —
„Godzina życia”. —Przegląd Prasy, Kores-
pondencja. — Noty.

W prasie literacko-społecznej, w której po-
ruszane są problemy kulturalne już wyzpie-
lone z całością jaką tworzy kultura i życie
społeczne, zagadnienie chłopskie ogranicza
się wyłącznie prawie do omawiania tych fe-
nomenów, które spostrzegamy w nadbudowie
życia społecznego. Ogromny proces emancy-
pacji warstwy chłopskiej, a zwłaszcza opsa-
nie dróg, jakimi dąży do wyzwolenia war-
stwa chłopska, bywa najczęściej pomijane.
Wyjątek potwierdzający regułę stanowił
mógłby reportaż, a raczej ilustrowany fak-
tem artykuł teoretyczny Głła o młodzieży wi-
ciowej. Artykuł ten w swoim czasie omawia-
łem na łamach kroniki. Poza tym w prasie
literacko-społecznej sondowania sprawy chłop-
skiej są raczej płytkie i ograniczają się do
dyskusji o gwarze, o autentyzmie, o kultu-
rze ludowej itp. czyli właściwie do notowania
zjawisk, których powstawanie związane jest
ściśle z procesem przemian zachodzących w
warstwie chłopskiej.

Prasa poświęcona sprawom chłopskim jest
dziś bardzo żywa i można się z niej dowie-
dzieć wielu rzeczy zasadniczych, które, jeśli
nie dziś, to na pewno jutro będą miały o-
gromny wpływ na kierunek kultury narodo-
wej. Nie będzie to przesada, gdy stwierdza-
my, że z politycznych artykułów „Chłopskiego
Sztandaru” wynika jedna, a z wypowiedzi
Ignara w „Wiści” czy Króla we „Wsi” in-
na propozycja kulturalna. Spór o gatunek
kultury narodowej w Polsce, kraju o prze-
ważającej warstwie chłopskiej, jest w istocie
sporem politycznym.

Znamy wszyscy polityczne propozycje PSL.
Zostały one raz jeszcze sformułowane w pro-
gramowym artykule redakcyjnym „Chłopskie-
go Sztandaru” (Nr 3). Tytuł artykułu: „Jak
Polskę urządzić chce PSL”. Zawiera on tezy,
które brzmią prawie tak samo jak tezy
stronnictw demokratycznych. Ale najpiękniej-
sze tezy muszą zostać wykonane, inaczej są
bezużyteczne. Czy tezy zawarte we wstęp-
nym artykule „Chłopskiego Sztandaru” mogą
być wykonane metodą PSL? Rzeczywistość
mówi nam, że nie. Doświadczenie historyczne
z lat przedmowych potwierdza dzisiejszą
rzeczywistość. PSL stoi na stanowisku demo-
kracji liberalnej z lekkimi tylko poprawkami
do jakich zmusza liberalów historia rozwoju
klasy robotniczej i przemiany, jakie nieustan-
nie zachodzą w strukturze wsi. Ale to stano-
wisko dziś wskutek ciągłego procesu prze-
mian społecznych jest już stanowiskiem kon-
serwatywnym. Operując się o wieś i to w
dodatku o wieś, która PSL traktuje jako nie-
zmienną jednolitą całość ideologia ta pragnie
utrzymać ją jako swoją bazę. W istocie zaś
wieś ulega nieustannym przemianom, uprę-
sławienie kraju odbiera jej hegemonię, ludność
wiejska siłą rzeczy zostaje wycięgnięta ze sta-
nu marazmu gospodarczego ocenia postępową
rolę techniki i widzi możliwość swego rozwo-
ju nie na tej polnej drodze, która pragnie za-
chować ideologię PSL, lecz na tej drodze, ja-
ką kroczy robotnik i inteligent. Dlatego też
baza naturalna ideologii PSL zachwiała się
a powłóczyła jej skurczyła się niepomiernie.
Naturalnym biegiem rzeczy stronnictwo chłop-
skie, tracąc wpływy na wsi, uzyskuje zwolen-
ników wśród pewnego odsetka ludności drob-
nomieszczańskiej. I to właśnie powoduje, że
piękne tezy o demokracji, jakie czytamy w
artykule „Jak Polskę urządzić chce PSL” po-
zostają tylko frazesem. Nieważne jest formu-
lowanie postulatów, lecz metoda ich przeprowa-
dzania. Jeśli w odeswie „Chłopskiego Sztan-
daru” czytamy: „Potępimy wszelki wyzysk
człowieka nad człowiekiem” to interesuje
mnie w jaki sposób zamierza PSL zlikwidować
ten wyzysk. Jakże może być inny spo-
sób, prócz cierpliwiej reformy — nie duszy
człowieka, lecz systemu społecznego i ekono-
micznego?

Te dwie propozycje reformy: duszy czło-
wieka lub ustroju społecznego, określają z gó-
ry kierunki kultury. O tych sprawach obszer-
nie i wyczerpująco informuje nas „Wiść”.
Były one szczególnie ważne, gdy chodziło o
wytężenie kulturalne dla młodzieży wiejskiej,
która dzięki reformie społecznej uzyskała
dziś pełne możliwości kulturalnego awansu.
Dwie propozycje kultury wynikają bezpośred-
nio z dwóch propozycji politycznych: albo
wieś zakonserwowana w całym swoim prymy-
tywizmie i regionalizmie, autonomiczna, nie-
związana z kulturą produkującą warstw nar-
rodu, odrzucająca „niebezpieczny” postęp tech-
niczny, albo wieś zrównana kulturalnie z mi-
astem, związana dzięki technicznemu postę-
powi z kulturą całego narodu, korzystająca z

całego dorobku narodowego i produkująca to,
co składa się na ten dorobek. Innego wyboru
nie ma.

Jakiego wyboru dokonała wieś? Oczywiście
dziś jeszcze nie zorientujemy się co do tego
na podstawie faktów kulturalnych. Ta bo-
wiem wyrastają wciąż jeszcze z dawnego
stanu rzeczy. Natomiast wybór wytycznej
odzwierciedla się ostro w faktach politycz-
nych. W nr 1 „Wiści” znajdujemy artykuł
czołowego teoretyka wiciowego Stefana Ign-
ara pt. „Wici zawsze na lewicy”. Ignar stwier-
dza w swoim artykule, że dotychczasowy
program ludowy agraryzmu przestał być wy-
starczający. Nastąpiła radykalizacja ruchu
wiciowego. Jako wadę obecnego programu
wiciowego, który uległ co prawda przekształ-
ceniom od roku 1935, widzi Ignar to, że „brak
w nim szerszego ujęcia zasad współpracy
chłopsko-robotniczej, co w ostatnich latach
nabrało wielkiego znaczenia”. Uwaga ta, jak
również krytyka agraryzmu, określa dobitnie
stanowisko Ignara. Ruch młodzieży chłopskiej
musi przajść od liberalnego idealizmu do
programu konkretnego przebudowy. „Jesteśmy
lewicowym ruchem młodzieży — pisze Ignar
i nie damy się nikomu zepchnąć na prawicę”.

W dzisiejszej konfiguracji stronnictw poli-
tycznych i programów rola prawicy zgodnie z
logiką historii, przypada liberalom.

Ignar krytykuje ostro dążenia ideowe obec-
nego zarządu „Wiści” tak różne od dążeń
członków tej organizacji, o których wspomina
zarówno sam autor, a które ostatnio zama-
nił festiwal wielotysięczny kongres demokracji
zacji „Wiści”.

Czytelnikowi, który zechce zapoznać się z
szerokim omówieniem „agraryzmu”, z którym
walczy dziś postępowy ruch młodzieży wiej-
skiej i demokratyczne stronnictwo chłopskie
radzę przeczytać w nr. nr 1 i 2 „Wiści” stu-
dium Jana Aleksandra Króla: „Mikrowsczy-
zna”. O przemianach i fluktuacjach jakim pod-
legają „Wici” informuje nas w nr 3 „Wiści”
Piotr Chmura w informacyjnym sprawozda-
niu z Kongresu Demokracji „Wiści”. W
tym samym numerze Józef Ozga-Michalski
zamieszcza tekst wygłoszonego na tym kon-
gresie referatu. W przemówieniu tym Michal-
ski oświeca sytuację Batalionów Chłopskich
w okresie okupacji i wskazuje na polityczną
akcję dowódczwa AK, która miała na celu roz-
kład BCH i zapobieżenie szarżom się wódr
nich hasel, że jedność narodu może być bu-
dowana „nie na dyktandzie szlachecko-kapita-
listycznych warstw społecznych, lecz na pro-
dukcji noli twórczych, młodych warstw chłop-
sko-robotniczych”. Michalski ostro atakuje
tych, którzy pragną oderwać młodzież wici-
ową od „polityki”, czyli w rzeczywistości chcą
zapobiec formowaniu się świadomości proce-
sów społecznych i tłumić dawną radykalną
tradycję organizacji. Przeciwno tej taktyce,
która ma na celu podporządkowanie „Wiści”
ideologii prawicowej, w organizacji powstała
silna opozycja. Jej wyrazem był właśnie kon-
gres. W swoim przemówieniu na kongresie,
zamieszczonym w tym samym numerze pi-
smo Jan Aleksander Król analizuje program
„agrarny” wskazując na całe jego zacofanie.
Przymierzając program agraryzmu do kon-
kretnych warunków naszego kraju, stwierdza
Król, że trzymanie się tego programu może
tylko opóźnić przejście od „kultury ludowej”
do kultury narodowej. Polemizując z liberali-
zmem niektórych ośrodków młodzieżowych
chłopskich, Król wskazuje na fałszywe fraze-
zy o „wszechstronnym rozwoju wsi”, który
oczywiście nie może się dokonywać w gran-
icach zakresionych przez ideologię liberalistycz-
ną. Wreszcie w zakończeniu wzywa autor
do zlikwidowania „separatyizmu społecznego
w Polsce ludowej. Bo czas aby w Polsce lu-
dowej — ludowym stało się to, co narodo-
we”. Oto pokrótce relacja nurtujących ruch
ludowy tendencji. Relacja z konieczności po-
bieżna i powierzchowna. Ideologiczny podział
w ruchu ludowym ma jednak prócz wymowy
politycznej wymowę kulturalną. Od zwycię-
stwa idei jedności interesu społecznego chłop-
pów, robotników i inteligencji w ruchu ludo-
wym zależy w wysokim stopniu przyszłość
polskiej kultury. To też zarówno inteligencja
zawodowa jak i pracownicy nauki i sztuki nie
mogą nie zająć stanowiska w tej arcyważ-
nej sprawie. To, po jakiej drodze pójdzie
ruch ludowy w Polsce, w jakiej mierze zo-
stań zdemaskowane drobnomieszczańskie
oblicze liberalistycznych koncepcji oddziele-
nia wsi od miasta, zadecyduje o przyszłości
kraju.

ph.

KORESPONDENCJA

Szanowny Panie Redaktorze!

Spotkałem się kilkakrotnie ze zdaniem, iż
opowiadanie moje pt. „Nowa Miłość” napisane
w roku 1925 nie było dotąd przeze mnie ogło-
szone i już krytyka wyolga z tego rzekomego
„nieogłoszenia” dość pochopnie wniosła.
Przypominam więc krytykom, którzy zresztą
mogą nie pamiętać tak odległych czasów, że

powieśtna nosząca tytuł „Nowa Miłość” była
drukowana w roku 1925 w gazecie „Głos
prawdy”, a w roku 1927 w paryskich „Nou-
velles Littéraires”.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania
Jarosław Iwaszkiewicz

Stawisko, dn. 14.1.47 r.



INTELEKTUALIŚCI I POKÓJ

Muszę szczerze przyznać, że mój przyja-
ciel Walter przedstawił mi jako półgłup-
ka. Bo tylko postuchajcie, o moim udziale
w wojnie bułgarsko-arabskiej:

„Nic potężniejszego i świetniejszego nad
te dwie armie nie widział Kandyd w życiu.
Trąby, bębny, piosenki, fiety, huk armat
i salwy karabinowe tworzyły harmonię woj-
ny. Armaty w jednej chwili sprzątnęły z
dwóch stron po 6.000 ludzi. Ogień karabino-
wy położył trupem 9.000 żołtów płamiących
korę ziemi. Bagnety były również dla wielu
błędnych wystarczającą przyczyną śmierci
i 30.000 ludzi gryzło już na pobojuwisku
trawę... Kandyd, który drżał, (jako filozof)
z śmiertelnej trwogi, podczas tej heroicznej
rzezi schował się, zatracił, zwinął w kłębek
i czekał. Wreszcie gdy dwaj króle 2 armii w
dwóch obozach nakazali ograbieć i odświeżyć
„Te Deum”, Kandyd wyszedł z ukrycia i po-
stanowił przyczynę i skutki tego, czego był
świadkiem, rozważyć kiedyś indziej i w bar-
dziej bezpiecznym miejscu...”

Jak widzicie nie postępowateł najbar-
dziej odważnie, ale za to, o wiele bardziej
rozważnie od Archimedeasa, który w dzień
zdobycia Syrakuz kreślił geometryczne fi-
gury na piasku i tłumaczył żołnierzom, że
się ich wzajemnym mordowaniem zupełnie
nie interesuje. Tak jak ja, albo jak Archi-
medes zachowywała się dotychczas wiel-
kość intelektualistów. Wybierali dwie z kla-
sycznych postaw: ukryć się albo też zginąć
w obronie niezależności nauki.

Obie te postawy wydają mi się dziś nie-
stusne. Pierwsza jest bardzo trudna do wy-
konania (gdzie się teraz można ukryć?), a
druga wręcz głupia.

Intelektualiści uważali dotąd, że ich istot-
ną funkcją jest obrona prawdy, piękna i do-
bra, że ich naczelnym zadaniem jest prze-
konywanie. Zapominali o tym, że aby prze-
konać trzeba mieć do tego odpowiednie
środki materialne. Doświadczenie historycz-
ne pokazało, że biele w bębny jest o wiele
skuteczniejszym środkiem przekonywania od
poematów lirycznych, wydawanych w trzy-
stu egzemplarzach. Pomiedzy intelektualistą
a społeczeństwem istnieje system instytucji
życia zbiorowego. Intelektualista musiał wal-
czyć o mądre działanie tych instytucji. In-
aczej niczego nie dokona. Będzie się ukrywał
lub go zatkują.

I dlatego dobrze rozumie Eluarda, który
jednemu z moich przyjaciół powiedział: „Pi-
sarzy, którzy bronili ziemi przed wrogiem,
oskarżono o zdradę literatury. To tak, jakby
o żołnierzu, który poszedł na front, powie-
dziano, że zdradza dziewczynę, którą ko-
cha”.

I dlatego dobrze rozumiem troskę intelek-
tualistów francuskich, którzy do uczonych,
piśarzy i artystów wszystkich krajów zwró-
cili się z następującym apelem:

„W chwili, gdy przedstawiciele wielkich
narodów zbierają się w Londynie dla przy-
gotowania pokoju z Niemcami, intelektu-
aliści francuscy przypominają, że trzy razy
w przeciągu 70 lat ich kraj oraz inne kraje
sąsiadujące z Niemcami padły za sprawą
Niemiec ofiarą inwazji i zniszczenia, widząc
pustoszenie swych miast, dziesiątkowanie
ludności i jej przywódców, niweczenie dzieł
sztuki, oddawanie na pośmiewisko wszyst-
kich walorów cywilizacyjnych oraz zagnie-
dzenie się na swej ziemi tyrani obcej i po-
mniatanie godności człowieka.

Zbrodnie hitlerowskie, których dowody
uwidoczniły się w całej pełni po wyzwoleniu
kontynentu europejskiego i okupowaniu Nie-
miec, są wystarczającym usprawiedliwie-
niem ich obecnej troski.

Nie kierując się duchem zemsty ani od-
wetu, intelektualiści francuscy żądają od
tych, którzy mają zdecydować na długi
okres dziełowy o losie krajów europejskich,
by wzięli należycie pod rozwagę skuteczne
środki rozbrojenia Niemiec.

Wszelki pokój nie — oparty na tym roz-
brojeniu, byłby rzeczą nie trwałą i szkodną,
a ci, którzy by go zawarli ponosiłby w
oczach świata straszną odpowiedzialność
za przyszłe katastrofy, które by z niego wy-
nikły.

Intelektualiści francuscy oświadczają, to
uroczyście i wzywają intelektualistów wszy-
stkich krajów, by przyłączyli się do tego
oświadczenia”.

Pod oświadczeniem widnieją następujące
podpisy:

Andree Chausson, Francois Mauriac, Paul
Claudel, Roger Martin du Gard, Aragon,
Elza Triolet, Vercoeurs, Louis Martin Chau-
fier, Frederic Jullot - Curie, Andree Viollis,
Claude Andree Puget, Maurice Bedel, Julien
Cain, Claude Aveline, Francis Carco, Paul
Eluard, Jacques Trefonel, Jean Cassou, Jean
Richard Bloch, Henri Wallon, Maxime Ale-
xander, Armand Salacron, Claude Morgan,
Stanislas Fumet, Yvonne Desigue, Yves de
Constantin, Gillevie, M-me Laby Hollebe-
cque, Raymond Guenoc, Rene Laporte,
Francis Ponges i inni.

W imieniu moich przyjaciół z „Kuźnicy”
przyłączam się do tego apelu.

Kandyd

„Ozon” dla młodzieży

Czyli „Balki z tysiąca i jednej nocy”.

Na Środkowym Wschodzie wydano broszurę, zawierającą deklarację „Ozonu Obozu Zjednoczenia Narodowego (OZN „Ozon”).

Wydawcy przywiązują dużą wagę do tej deklaracji i pragną ją rozpowszechnić wśród młodzieży, do której piszą wprost: „Ponowne wydanie deklaracji ideowo - politycznej Obozu Zjednoczenia Narodowego przeznaczamy przede wszystkim dla młodzieży, gdyż trafne sformułowanie dopomogło jej do znalezienia właściwej drogi w jej przyszłym życiu politycznym”.

I dalej:

„Przeglądając karty deklaracji, nie widzimy potrzeby wprowadzenia jakichkolwiek zmian. Nie czujemy w sobie żadnych nakazów, któreby nam zalecały pogrzebanie w niepamięci ludzkiej, któregośkolwiek z naszych założeń ideowych. Wszystkie one przetrwały niewzruszenie najostrzejsze próby, przez jakie przeszedł naród”.

bs.

Notatki paryskie

1. Pismo: tygodnik „Forces Françaises”. Numer 70. Miejsce: Paryż. Artykuł: Siedemnasta republika sowiecka. Autor: Jean Larteguy. Kilka cytatów:

„Jeszcze w 1939 roku NKWD zorganizowało między cywilnymi Polakami małą grupkę komunistyczną z Wandą Wasilewską na czele, z której to grupy chcieli stworzyć rząd polski. Inwazja niemiecka uniemożliwiła Rosji zrealizowanie tego projektu. Organizacja obecnego rządu polskiego jest dokładną kopią organizacji rządów republik sowieckich. Przy ministerstwach są akredytowane sowieckie komisje... propagandą kieruje Bielaev, redaktor „Prawdy”. Sędziami są Rosjanie albo polscy komuniści. Podobnie jak w Rosji, Czerwony Krzyż jest zakazany. W szkołach historia Polski została zrewidowana według wskazań sowieckich... Administracja lokalna przez „Sowiety” — po polsku „rady” — jest werna kopią administracji sowieckiej. Polska staje się coraz bardziej 17-tą republiką. Dowodzi tego najlepiej reforma rolna. Rozparcelowana ziemia nie może wyżywić chłopów, którzy są w ten sposób zmuszeni do zakładania kolchozów na wzór sowiecki... Rekwizycje armii sowieckiej przewyższają o 20 proc. rekwizycje dokonywane przez Wehrmacht...”

Komentarze zbyteczne.

2. Pismo: „Le Monde” Numer: z dnia 15.12. Miejsce: Paryż. Dział: ogłoszenia drobne. „Poliglota, 33 lata, niemiecki, rosyjski, hiszpański, arabski, były sekretarz związku pracodawców, były wysoki funkcjonariusz rządu Vichy, zwolniony przez sąd cywilny, energiczny, aktywny, znajomość organizacji handlowej i przemysłowej; poszukuje etc. etc.”. Podkreślenie moje. Komentarze zbyteczne.

3. I w Paryżu jest „Gazeta Ludowa”. Jej francuskie wydanie jest ostre i bez koniecznych w Warszawie osłonek. Paryska „Gazeta Ludowa” zajmuje się także sprawami gospodarczymi. Np. w swoim 28 numerze sprawami gospodarczymi Francji. Na prawdę, warto zapoznać się z projektowanymi przez nią rozwiązaniem trudnej sytuacji Francji:

„Gdy się ma słabą walutę a mało własnego surowca i trzeba go sprowadzać z zagranicy, to jest to twardy orzeszek do zgryzienia, ale ostatecznie gdy ktoś mocno tupnie nogą to orzech rozgniecie i postawi na swoim”.

Ot, paryskie plany! W Polsce realizuje się to inaczej: gdy się ma twardy orzeszek do zgryzienia i blok stronników demokratycznych przeciw sobie, to wystarczy celnie strzelić z pepeszy, rozgnieść przeciwnika i postawić na swoim! Ale to łatwiejsze na papierze.

m m

Surowy wyrok

W prasie codziennej wyczytałem nie dawno, że „wybitna śpiewaczka operowa” Germaine Lubin została skazana na wieczne potępienie za współpracę z Niemcami podczas okupacji Francji; nadto sąd orzekł konfiskatę jej majątku oraz zakaz przebywania w Paryżu przez 20 lat.

Dotychczas na wieczne potępienie skazywano ludzi wyłącznie instancje duchowne, działające z upoważnienia mocy państwowych. Obecnie — jak widzimy — trybunały francuskie rozszerzyły znakomicie swoje kompetencje, włączając „wieczne potępienie” do rejestru stosowanych kar.

Nie mamy zresztą nic przeciwko tej surowości sądów francuskich, przed którymi stała kolaboracyjność i kłopotliwa przeszłość. Niechaj ich skazują na „wieczne potępienie”, zasłużyli.

bd.

Łatka wie co robi

W sprawie Stanisława Wasylewskiego odezwał się także p. Łatka. Dowiadujemy się od p. Łatki („Tydzień” Nr. 3), że Wasylewski „był oskarżony przez kilku literatów krakowskich o współpracę z okupantem niemieckim”. Dla p. Łatki nie istnieje w tej sprawie zagadnienie kolaboracji, nie obchodzi go stosunek literatów i społeczeństwa do zjawiska współpracy pisarskiej z okupantem. P. Łatka wyimaginował sobie „kilku literatów krakowskich”, aby ukroczyć łeb całej sprawie. P. Łatka podsuwa czytelnikowi fałszywą informację.

aby utopić zagadnienie, które poruszyło świat literacki, w takiej oto cynicznej konkluzji: „Należałoby napiętnować fałszywych oskarżycieli. Chyba, że m. Wasylewski wspierałomyślnie przebaczyć”. Fakt współpracy Wasylewskiego w gazdówce niemieckiej p. Łatka perfidnie przemilczał.



Zanim się p. Łatka weźmie do piętnowania, pomówimy o nim samym. Przyjęło się uważać publicystykę p. Łatki, tak samo, jak podpisy Jerzego Wyszomirskiego w prasie codziennej i w periodykach, za wypadek szczególny, po prostu kliniczny. Od pierwszych miesięcy niepodległości, ci dwaj krewniacy po piórze popisują się swoim nieszczęściem osobistym, ale przypominają sobie anegdotę wojskową o pomyślnym, przytoczoną kiedyś w „Kuźnicy”. Dlaczego ci panowie pod pięknym pozorem zabawy w ple ple stale i nieodmiennie tłamszą wszelkie zagadnienia narodowe i społeczne, stale i nieodmiennie przycepiają łatkę pisarzem postępowym, którzy te za gadnienia stawiają. Bywa system w szaleństwie, bywa i w wesołej dementii. System ple ple, uprawiany przez tych panów, zawsze z jakąś przedziwną gorliwością dogadza pariedziejskiej kultury. Ale, mój panie dzieciu, kiedy chcesz zafałszować i rozbabrać po swoim problem kolaboracji, to za pozwoleniem, powiedz nam, dlaczego, obrabiając od miesięcy literatów łódzkich, masz na swoim wykazie wyłącznie takich, którzy przykładali się do walki z okupantem w AL, AK lub w wojsku? Uchodźło ci to bezkarnie, więc upatrzysz sobie teraz odpowiednich „kilku pisarzy krakowskich”?

Dosyć, p. Łatko. Przestań pan symulować wesołą chorobę. Mamy niejaki dowody, że pan jesteś zdrow i umyślny.

rkm.

Nowa lista PSL.

W krótkiej notatce, zamieszczonej w dodatku literackim „Gazety Ludowej” z dnia 21 stycznia r.b. p. (p) omawia wydawane przez Polskie Biuro Informacji w Paryżu „Cahiers Franco - Polonais”. Oczywiście p. (p) ma prawo odnosić się krytycznie do tej publikacji. Natomiast zadziwiające jest następujące zdanie:

„Zaprezentowano publiczności francuskiej, na szczęście w małych dawkach, bardzo jednostronny i mało ciekawy zespół rymotworczy: Przybóś, Ważyk, Słonimski, Tuwim, Bieńkowski, Broniewski, najlepszy jeszcze w tym towarzystwie”. Zdanie to, pomijając nonszalanecję, jaką okazuje anonimowy p. (p) wobec sześciu wybitnych poetów nasuwa nam myśl, że istotnie może kogoś pomieścić. Oczywiście, brak tu Mieczysława Jastruna. Zapewne to zniechęciło p. (p) do „tego towarzystwa” złożonego z Tuwima, Słonimskiego, Broniewskiego i Ważyka. A może p. (p) miałby na myśli inne „towarzystwo”? Pp. Szezwieja, Dziukowski, Syge, Millera i poetów „Gazety Ludowej”? Proszę wystawić taką listę! Może utwory pisarzy z tej „listy” prześlannaczone na francuski przysporzą nam więcej chwały niż wiersze „tego towarzystwa”. Ale proszę pamiętać, drogi panie, że i w Paryżu nie robią z owsa ryżu!

rdc.

Rachunek sumienia

Często pisywałem negatywnie o stanie metodologicznym naszej humanistyki. Zachowuję nadal swoje metodologiczne troski i niepokoję. Wczoraj jednak poczułem wyrzuty sumienia. Oto dr Schaff, prawdziwy duch opłakany i spiroitus movens pisma, przyniósł mi zeszyt 1 (8) „Myśli Współczesnej”, który stanowi monografię Ziem Zachodnich z artykułami najlepszych specjalistów na tematy gospodarcze, ludnościowe, historyczne, polityczne i kulturalne. Zamyśliłem się, przeglądając ten zeszyt nad trzema kronikami, które wyczerpująco omawiają działalność kulturalną, oświatową i wydawniczą Instytutów: Śląskiego, Bałtyckiego i Zachodniego. Zamyśliłem się nad tym, że pisząc swe krytyczne uwagi metodologiczne — nigdy nie pisałem wszystkiego co myślałem o pracy uczonych. Czyniłem to oczywiście dlatego, że niktogo przecież nie obchodzi co spośród znanych wartości podobna mi się, to bardzo prywatna sprawa. Spowiadać się publicznie z takich prywatnych upodobań mają prawo tylko osoby historyczne. Ogłaszanie natomiast uwag metodologicznych miało swój sens społeczny, było bowiem nie

wyrazem prywatnych upodobań osobistych uczuć czy przeżyć, ale konfrontowaniem dwu społecznie istniejących ponadindywidualnych systemów teoretycznych, ideałów społecznego naukowego zachowania się, niezależnych od mego widzi mi się, ale od intersubiektywnych sprawdzianów. Konfrontowaniem ważnym dla ustalenia się społecznych hierarchii wartości, dla ustalania się obiektywnej podstawy różnych potem już trwałych i dla każdego z osobna prywatnych upodobań. Z tym wszystkim dziś, w okresie odbudowy, gdy nie bardzo powszechnie wiemy, co się robi i wiele się robi, gdy każdy przyrost wartości należy notować, warto podkreślić cenę i znaczenie prac metodologicznie najbardziej nawet wapiących czy tradycyjnych. Warto dzielić się ze współobywatelami swym uzasadnionym optymizmem. Dzisiaj to także jest funkcja społeczna.

Numer „Myśli Współczesnej” (1) poświęcony Ziemiom Zachodnim powinien przeczytać od deski do deski wszyscy malkontenci, jeśli są uczciwi jeśli myślą. Odpowiada on na najbardziej kapitalne pytania naszej doby. A także mówi jak informująca, uparta, sumienność, powiązana tematyką i problematyką z życiem, z potrzebami społecznymi, z dniem dzisiejszym jest praca naszych uczonych: historyków, demografów, ekonomistów, geografów. Tych, którzy skupieni w trzech wymienionych instytucjach, służą sprawie Ziemi Zachodnich i sprawie postępu wiedzy.

To doprawdy lawina pozycji bibliograficznych. Nie broszur propagandowych, ale poważnych, kulturalnie cennych prac naukowych. W ciągu tych dwu lat naciętych, bezpośrednio powojennych, kiedy to, jak chcieli różni opiekunowie Niemców, nawet pomóc nie umieliśmy zagospodarować się na Ziemiach Zachodnich — taki Instytut Zachodni ma 44 pozycje wydawnicze, Instytut Bałtycki 92, Instytut Śląski 35. Nadto każdy z tych instytutów prowadzi poważne, naukowe wydawnictwo periodyczne. Wśród wydawanych książek są takie pozycje, jak Lehra - Spławieńskiego „O pochodzeniu i prapoczątkach Słowian” (237 str.), Kostrzewskiego „Kultura prapolska”, Mitkowskiego „Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski” (223 str.), Pivarskiego „Dzieje Prus Wschodnich w czasach nowożytnych” (384 str.), Srokowskiego studium geograficzne, gospodarcze i społeczne „Prusy Wschodnie” (321 str.), Demela „Życie morza” (str. 480), praca zbiorowa p.t. „Specjalizacja polskich portów” (str. 300), T. Dobrowolskiego „Sztuka na Śląsku”. Wymieniam tylko parę na chybił-trafił wybranych tytułów. Myślę, że warto pomyśleć o tym. Myślę, że warto pomyśleć nad ostatnim zeszycem „Myśli Współczesnej”, nad pierwszą naukową monografią Ziemi Zachodnich. Kupcie ten zeszyt wszyscy.

ztk.

Bezdroża krytyki

Młody krytyk krakowski Wilhelm Mach uskarżał się nie dawno w „Odrodzeniu” na brak miejsca, które pozwoliłoby w pełni wypowiedzieć się krytykom. Ich prace ograniczone do rozmiarów jednej lub kilku szpalt, w razie przekroczenia tej normy nie mogłyby znaleźć miejsca w żadnym z istniejących czasopiśmie. Gotowi byłbyśmy może przyznać mu rację, gdybyśmy nie mieli przed oczyma smutnego przykładu „gruntownej krytyki”, jaki daje Mach, pisząc o książce Stefana Otwinowskiego p. t. „Czas nieludzki”. (Twórczość „Nr. 12”). Długość rozprawy — 36 szpalt petitu!

Zdawałoby się, że przy takich rozmiarach studium nad utworem o stu paru stronach, nie ma rzeczy, której autor nie zdołałby wyłożyć i szeroko udokumentować. Niestety krytyka Macha wskazuje, wręcz przeciwnie, że do niczego nie przydatna, drobniagowa analiza formalna bez trafnej i jednolitej koncepcji wartościującej prowadzi do miernych rezultatów, jest po prostu nieposzanowaniem papieru i czasu czytelnika.



Olbrzymia aparatura nadmiernie rozrośniętego opisu, bezpłodne wyliczanie „chwytów” literackich — nie prowadzi do niczego ponad nie nie znaczące ogólniki. Co to znaczy w jakimkolwiek języku, który by miał walor obiegowy poza recenzją Macha, że postawa bohaterów Otwinowskiego jest „humanizmem minimalistycznym”? W języku jakiej ideologii tkwi tego rodzaju określenie? Co z tego, że po kilku stronkach zawitych wywodów Mach dochodzi do wniosku, że proza Otwinowskiego „ma swój rytym”? Czy to jest jakaś cecha wyróżniająca? O każdej prozie można napisać to samo. Czy naprawdę „suma opisanych dyspozycji intelektualnych

artystycznych pozwala dopiero ująć w pełnym oświetleniu osobowość Otwinowskiego”? To nieprawda. Ani nie widzimy po tym wszystkim żadnej osobowości, ani ukazanie jej nie jest zdolne wyjaśnić nam niczego, co mogłoby być oceną i klasyfikacją prozy Otwinowskiego. Nikłosć wniosków krytyka i autora olbrzymiej rozprawy bije w oczy.

Być może, że przy istniejącym stanie wiedzy humanistycznej na naszych uniwersytetach studium Macha mogłoby być uznane za niesłychanie cenny „przyczynnik” magisterski, a nawet doktorski. Gromadzi się takich wiele na składzie w polonistycznych seminarjach. Ale po co to wszystko ma znosić cierpliwą czytelność periodyków literackich?

po

Nauka zobowiązuje

W zeszycie 2 „Jantaru”, organu Instytutu Bałtyckiego (wrzesień — październik 1946) opublikowane zostało „Oświadczenie” prof. Uniwersytetu Toruńskiego Karola Górskiego przeciwko mojemu artykułowi w „Kuźnicy” (Nr 32 pt. Zamiast recenzji), w którym m. in. zacytowałem kilka przykładów nienaukowej konstrukcji myślowej, zasługującej moim zdaniem na stanowcze tepienie w ogóle, a zwłaszcza w pracach, które, jak prof. Górskiego „Państwo krzyżackie w Prusach” mają uzasadnione ambicje naukowe.

Jest zwyczajem, że autor, chcąc złożyć pewne oświadczenie w związku z jakąś wypowiedzią w prasie na temat jego dzieła, czyni to na łamach tego pisma, gdzie znajdowała się owa wypowiedź, przeciwko której uważa za stosowne wystąpić. Ponieważ tym razem nie tak się stało, muszę najpierw zapoznać z treścią oświadczenia prof. Górskiego.

Według tego „oświadczenia” ocena moja składa się z szeregu zdań wyrwanych z całości jego pracy i przez to niezrozumiałych, natomiast jasnych co do znaczenia w kontekście, albo też insynuuję mu poglądy, które on wyraźnie rzekomo odrzuca (np. rasizm). Recenzent nie podał argumentów na dowód, że jego sądy są niesłuszne, ani nie przytoczył przeciwnych ujęć czy też przeciwnych argumentów. Ocena jednostronna, bez argumentów, oparta na dowolnie wybranych zdaniach nie jest recenzją, tak jak nie jest polemiką. W ten sposób przedmiotem ujemnej sensacji — pisze prof. Górski — można uczynić każde dzieło, niezależnie od jego treści i wagi. Lecz to przecież nie może być celem dyskusji nawet publicznej, nie mówiąc już o naukowej.

Powyższe oświadczenie ujawnia sytuację naprawdę groźną:

Przytoczyłem z omawianej pracy zdania, które świadczą niezawodnie o tym, że jej autorowi obca jest granica między poznaniem naukowym i jego słownictwem — a poznanie i słownictwem, które z nauką nie mają nic wspólnego.

Wydawało mi się, że na tego rodzaju zdania wystarczy zwrócić uwagę, kompromituja się one same dostatecznie wyraźnie, żąda

nie autora, aby dać argumenty na dowód, że są one niesłuszne, ubezwładnia mnie, przyznaje, że nie potrafię dyskutować na temat czegoś co według mnie nic nie znaczy lub polemizować z poglądami, które powinny każdemu oburzać. Prof. Górskiemu wydaje się, że zdania, które mnie rażą są jasne co do znaczenia w kontekście, byleby ich nie wyrwać z całości pracy. Chętnych odsyłam do niej, niecierpliwym ofiaruję dwa dalsze ustępy z niej, dostatecznie, jak sądzę, obszerne, aby autor nie lękał się, że tylko „wyrwane” nic nie znaczą.

(str. 127, mowa o stosunkach krzyżacko-polskich za Jagiellów).

„Te 50 lat walki z rzeczywistością i nieuchronnymi jej skutkami wyczerpały siły Zakonu, postawiły państwo u progu ruiny, rozpały wewnętrzną opozycję. Była to walka wbrew nakazom rozumu i głosowi sumienia, walka przeciw tej lepszej części, która tkwiła w idealizmie Zakonu. Było w niej coś z rozpedu Don Kiszota i z rozpaczy filozofii załamania, która nakazuje walczyć dla samej walki. Nie brak wytrwałości i zawziętości, ale nigdzie nie było podłości i wielkości nie stają tak blisko siebie i nie są tak do siebie podobne, jak właśnie w tej walce Zakonu przeciw swemu własnemu powołaniu. Zawziętość przeciw idei, która stała u jego kolebki, przeraża w Zakonie miarę interesu, staje się jakby bezkresną, bezgraniczną, szukając celu w samym zaprzeczeniu. I dlatego nie powinien historyk dziwić się ani chwytom, ani metodom stosowanym wobec Polski czy Litwy, gdyż pierwotna zbrodnie popełniał tu Zakon na samym sobie”.

(str. 128) Zabieg Krzyżaków o przychylną poddanych. „Trzeba było też przedjąć poddanych, którzy lepiej się orientowali w stosunkach. Krzyżacy wychowali ludność Prus w duchu krucjacy; ze względu na dobro wiary nakładła ona sobie jakby bielo na oczy, by nie gorzej się Krzyżakami. Teraz powód ten odpadł. Nie mogąc tedy eksploatować idealizmu poddanych, Zakon zszedł do niższych pokładów duszy ludzkiej i zaczął czynić ustępstwa natury materialnej. Co prawda daleki był od wydania ogólnego przywileju, ale nie skąpił przywilejów indywidualnych”.

Chciałbym wiedzieć jak można tego rodzaju strofy uczynić przedmiotem dyskusji, której domaga się prof. Górski, uważając się za niewinnie napadniętego reprezentanta nauki. Kto potrafi przekonać go, że nie ja uczyniłem jego dzieło przedmiotem „ujemnej sensacji”, ale że to on właśnie posługuje się słownictwem i koncepcjami, stosowanymi przez świadomych swej sztuki autorów sensacyjnej literatury.

Symbioza naukowości z takim stylem dyskredytuje historiografię.

Stanisław Śreniowski

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”.

Wydawca: Zespół „Kuźnicy”.

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.

CENY OGŁOSZEŃ:

Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpalte.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, żwirki 2.

D-012412